

# Stanisław Mikke

---

## Katyń 1995 r. : przedostatni rozdział

---

Palestra 40/7-8(463-464), 67-98

---

1996

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

---

---

Stanisław Mikke

## KATYŃ 1995 R.

### - PRZEDOSTATNI ROZDZIAŁ

*Brukowały Wasze kości  
złotą drogę ku wolności...*

16 sierpnia 1995 r. Pogodny poranek. O godzinie siódmej w Radzie Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa tylko Andrzej Przewoźnik – sekretarz generalny. Otrzymuję dokumentację dla kierownika ekipy ekshumacyjno-sondażowej w Katyniu, która pracuje tam już od 1 czerwca.

To mój trzeci wyjazd na Wschód w tym samym celu, z tą samą misją. Mam jechać do Smoleńska pustym autokarem użyczonym przez Komendę Główną Policji, który za trzy dni zabierze ekspertów, pracujących w Miednoje również od czerwca. Prócz dokumentów jest jeszcze inna, szczególna przesyłka. Dwie dębowe trumny. Spocząć w nich mają szczątki generałów – Mieczysława Smorawińskiego i Bronisława Bohaterewicza, pochowanych po ekshumacji w 1943 r. w pojedynczych mogiłach.

O 8.30 pożegnanie z Andrzejem Przewoźnikiem. Przed wyjazdem t a m, wszystkie pożegnania mają wyjątkowy charakter. Tak było przed rokiem. Członków ekip do Katynia i Miednoje żegnał wtedy Stanisław Broniewski „Orsza”, legendarny naczelnik Głównej Kwatery „Szarych Szeregów”, dowódca akcji pod Arsenalem, do dziś czynnie przewodniczący Radzie Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Tak jest i tym razem. Słowa pożegnania zastępuje spojrzenie i uścisk dłoni.

Wraz ze mną jedzie ksiądz Bernard Pełka. Wieziemy również dla członków ekipy trochę prowiantu, cukier, żółty ser, jabłka.

W południe przekraczamy granicę polsko-białoruską. Polskie służby w Terespolu minimalizują formalności. Po kilku minutach jesteśmy po drugiej stronie granicy. Po pierwszych porozumieniach integracyjnych Białorusi z Rosją nie wiadomo czy mamy do czynienia z białoruskim, czy też już rosyjskim oficerem wojsk pogranicza. Prosi o otwarcie luków bagażowych. Nieco zaskoczony widokiem trumien, pyta o ich przeznaczenie. Wyjaśniam, że dla polskich generałów zamordowanych przez NKWD. Jedyłą jego reakcją jest pytanie, ile takie porządne trumny kosztują. Później z oficjalną grzecznością żąda uchylecia jednego i drugiego wieka.

Kilkadziesiąt metrów dalej zostajemy zatrzymani przez młodego funkcjonariusza milicji drogowej. Poleca zjechać na bok. Widać przy tym, że stara się zapamiętać

numery rejestracyjne naszego autokaru, z napisem na przedniej szybie: „Rzeczpospolita Polska. Prace sondażowo-ekshumacyjne – Katyń 1995 r.” Po chwili wraca z rozlatującej się budki – posterunku i informuje, że mamy czekać, wkrótce przybędzie nasz przewodnik. Mówię, że znamy drogę i nikogo takiego nie potrzebujemy. Po kwadransie ponownie tłumaczę, że musimy się spieszyć, przed nami kilkusetkilometrowa droga. Milicjant „usztynia się”, nie ma zgody na dalszy przejazd i koniec. Na nic zdają się ponad godzinne interwencje u innych milicjantów.

Wreszcie przyjeżdża radiowozem miejscowy komendant. Poprowadzi nas do Mińska. Oświadczam, że jedziemy prosto do Smoleńska. Kręci przecząco głową. – „Macie nocować w naszej stolicy”. Takie polecenie otrzymał faksem i to on tam nas dowiezie. Ja swoje, on swoje. W końcu zaczynam używać innych argumentów. Czy mam rozumieć – pytam – że on chce utrudniać zadanie państwowej delegacji? Nie, on nie chce niczego utrudniać, trzyma się tego, co mu kazano. Ale – mówi po namyśle – jeśli ja „starszyj” (kierownik) upieram się, biorę odpowiedzialność za przejazd, to muszę mu podpisać oświadczenie. Podpisuję. Komendant pyta, czy ma nas doprowadzić do granicy rosyjskiej, czy też – tu już wyraźna sugestia – wystarczy, że w tej nowej sytuacji wyprowadzi nas z Brześcia? Wystarczy. Obiecuje przekazać zalecenie na granicę białorusko-rosyjską, by nie robiono żadnych trudności. Radiowóz, z włączonymi sygnałami świetlnym i dźwiękowym, rusza przed autokarem. Pędzi nie zwracając uwagi na czerwone światła na skrzyżowaniach ulic, a momentami jedzie „pod prąd” – samochody jadące z przeciwnej strony w popłochu zjeżdżają z drogi. Za miastem radiowóz zjeżdża na pobocze, komendant z kierowcą pozdrawia nas i żegna machając ręką.

Podczas długiej podróży sięgam do niektórych dokumentów: są wśród nich takie, które mają pomóc w identyfikacji zwłok generałów. Ale znajdują się tam i inne informacje. Czytam, że w 1943 r. podczas ekshumacji przy zwłokach generała brygady Mieczysława Smorawińskiego znaleziono m.in. legitymację Ministerstwa Spraw Wojskowych nr 2672, wydaną przez Dowódcę Okręgu Korpusu V w Krakowie 18 grudnia 1927 r. dla pułkownika w stanie czynnym. Przynależność służbowa – 6 Dywizja Piechoty. W rubryce „zmiany” adnotacja: awansowany do stopnia generała brygady 1 sierpnia 1928 r. Z opisu dokumentów wynika, że fotografia była odklejona, częściowo zniszczona, jednak rysy twarzy dobrze się zachowały. Przy zwłokach znajdowała się też legitymacja do Orderu Virtuti Militari nr 2948, wydana przez Biuro Kapituły w Warszawie 1 maja 1933 r. stwierdzająca, że Smorawiński Mieczysław jest kawalerem Krzyża Srebrnego tego orderu wojennego. W kieszeni munduru miał generał książeczkę oszczędnościową z adresem Lublin, Plac Litewski 3 i stanem oszczędności wraz z odsetkami za 1938 r. – 8.278,20 zł.

Z arkusza ewidencyjno-kwalifikacyjnego korpusu generałów wynika m.in., że Mieczysław Smorawiński urodz. 25 grudnia 1892 r. w Kaliszu wstąpił do Legionów Polskich 14 sierpnia 1914 r. jako student Politechniki Lwowskiej. Był trzy razy ranny w wojnie światowej i dwukrotnie w wojnie polskiej, jak wówczas mówiono o roku 1920. W 1914 r. był chorążym. Po kilku miesiącach podporucznikiem, po kolejnych porucznikiem. W 1916 r. mianowany został na stopień kapitana, a w 1917 majora.

W listopadzie 1918 r. awansował na dowódcę baonu w 2 pułku piechoty WP (8 p.p. Legionów).

Podczas wojny bolszewickiej w orzeczeniu dowódcy dywizji znalazła się ocena: „Bardzo dobry bojowy oficer. Szlachetny, prawy charakter, bardzo sumienny, z dużym poczuciem obowiązku i odpowiedzialności”, a dowódca Frontu Litewsko-Białoruskiego pisał: „Doskonały bojowy oficer. Odważny, inteligentny (...) Doskonali dowódca pułku”.

Jego sylwetkę dobrze charakteryzują opinie rocznych uzupełnień listy kwalifikacyjnej.

W 1921 r., jako o podpułkownika i dowódcy piechoty dywizyjnej, dowódca 2 Dywizji Legionów pisał m.in.: „Charakter wybitnie zrównoważony. Wysokie poczucie etyczne. Bardzo lojalny i obowiązkowy. Pierwszorzędny bojowy oficer. Posiada zimną krew. Służbę w armii narodowej pojmuje bardzo ideowo. Bardzo dobry oficer, bardzo dobry dowódca”.

O zaletach fizycznych w kolejnych opiniach pisali dowódcy: „Wytrzymały na trud, dobrze zbudowany i silny. Czynny, ruchliwy. Siebie nie oszczędza”.

Z opinii:

1922 r. – „Charakter wybitnie dodatni. Wybitnie obowiązkowy”.

1923 r. – „Konsekwentny, wytrwały, niemal uparty. Skromny i mało wymagający dla siebie. Wyznawca sprawiedliwy, ostrożny w sądach, lojalny. Wyniki pracy b. dobre. Zachowanie w służbie i poza służbą wzorowe”.

1925 r. – „Posiada b. dobre formy towarzyskie, lubiany w społeczeństwie cywilnym”.

1926 r. – „Charakter nieskazitelny, wymagający dla innych. Surowy dla siebie. Przytem wyrozumiały i sprawiedliwy. Przy bardzo dużej ambicji pracy skromny i umie ukryć własne zasługi. Towarzyski i koleżeński”.

1927 r. – „Charakter lojalny i silny, na wskroś lojalny, obowiązkowy, opanowany taktowny. Rozważny, dbały o dobro żołnierza i służby. Posiada zdolności kierownicze w bardzo wysokiej mierze. Energiczny i samodzielny. Umysł twórczy. Powinien być powołany na kurs wyższych dowódców. Posiada w wysokim stopniu zalety i cechy doskonałego – mimo młodego wieku – pełnowartościowego dowódcy wielkiej jednostki. Wybitnie ideowy oficer”.

Tak. Jego musieli zgładzić.

Do Lasu Katyńskiego dojeżdżamy o godz. 0.30 czasu rosyjskiego. Przy szosie nie ma nikogo. Budzę księdza. Idziemy razem. W lesie całkowita ciemność. Droge, którą znam doskonale z poprzedniego roku, teraz odnajduję wyczuwając to ręką, to nogą krawędź asfaltu. Po kilku minutach mam wrażenie, że zbłądziłem. Nagle, z dużej odległości, błysnęło jakieś światło. Mój towarzysz podróży wyraża obawę, czy nie zachowujemy się nazbyt ryzykownie. A nuż ci, którzy pilnują, zaczną strzelać. Mówię, że to już inne czasy. Podchodzimy bliżej. Niedaleko płonącego ogniska młody milicjant i żołnierz oświetlają nas latarkami. Są uzbrojeni, ale zachowują się dość niepewnie. Wiedzą, że mamy przywieźć trumny. Od jednego z nich pożyczam latarkę. W smudze światła oglądam najbliższe otoczenie. Wśród przerzedzonych

drzew wysokie pryzmy piasku i wielkie doły odkrytych mogił, jedna z równymi rzędami szkieletów. Głowa przy głowie. Dziesiątki czaszek z otworami w czole po wylocie kuli. To ONI.

Kierowcy z trudem dają się przekonać, by wjechać nocą na cmentarz z otwartymi mogiłami. Zostawiamy trumny w tzw. wagończyku, przypominającym domek campingowy. Takie dwa pomieszczenia magazynowe na sprzęt ustawiono w pobliżu miejsca prac.

W hotelu jesteśmy po pierwszej w nocy. Profesor Marian Głosek pracuje w swoim pokoju nad dokumentacją.

Następnego dnia wraz z ekipą\* jadę do Katynia. Poranna mgła. Przez mieszany las przebijają promienie słońca. Zanim rozpoczniemy pracę, przechodzę wokół otwartych mogił i dołów śmierci. Co czuję? Poszukuję w sobie tego szczególnego stanu z 1991 roku i roku 1994. I nie odnajduję tamtych wzruszeń. Czy tak powinno być? Czy to naturalna reakcja na obcowanie, kolejny już raz, z najbardziej przejmującymi dowodami masowej zbrodni? Nie czuję się dobrze z tym spokojem, jakieś niepokojące uczucie, wyrzut sumienia niemalże. Te przeżycia odnowią się jednak później, w powrotach do tamtych chwil po tygodniach, po miesiącach. Podczas mimowolnego przypominania sobie tamtego czasu. Jego miarą jest opór przed opowiedzeniem o tym, w czym brało się udział. I nieustanne poszukiwanie słów w opisie tego, czego się było świadkiem. Rzecz również i w faktach. Tych, o których należy powiedzieć, i tych, o których, z różnych, zresztą całkowicie odmiennych powodów, nie chce się mówić i pamiętać. Dlatego też ta relacja ukazuje się dopiero dzisiaj.

Dzień przed moim przyjazdem, w obecności przedstawicieli lokalnych władz oraz kilkudziesięciu mieszkańców Smoleńska odkryto groby generałów Smorawińskiego i Bohaterewicza. W 1943 r. pochowano Ich w trumnach. Obie przetrwały, nie zostały naruszone w 1944 r. podczas prac okrytej niesławą komisji Burdenki. Doktor Erazm Baran – lekarz medycyny sądowej i antropolog Wiesław Lorkiewicz starannie wybierają ziemię przemieszaną z ludzkim ciałem z trumny jednego z generałów. Podnoszą czaszkę z raną postrzałową w okolicy potylicznej i otworem od wylotu pocisku. Jest przy tych szczątkach znaczek pecekowski nr 1. Taki umocowano podczas ekshumacji w 1943 r. przy zwłokach generała Mieczysława Smorawińskiego. Podczas starannego przeszukania resztek munduru znaleziono dwie spinki do mankietów koszuli, pas, polskie guziki wojskowe, jeden orzełek generalski z kołnierzyka, resztki

---

\* W skład ekipy wchodził: prof. dr hab. Marian Głosek – kierownik ekipy (archeolog); dr hab. Maria Magdalena Blombergowa – zastępca kierownika (archeolog); dr Dominik Abłamowicz (archeolog); mgr Wojciech Śmigielski (archeolog); mgr Mirosław Pietrzak (archeolog), mgr Piotr Świątkiewicz (archeolog); mgr Błażej Muzolf (archeolog); dr Erazm Baran (lekarz medycyny sądowej); dr Bogdan Łuczak (antropolog); mgr Wiesław Lorkiewicz (antropolog); dr Marek Dutkiewicz (mundurolog i falerysta); mgr Gabriel Rycel (dokumentalista-fotograf). W trakcie badań wyjechał mgr A. Pietrzak, a przybyli dr Jan Grześkowiak (archeolog), mgr Justyn Skowron (archeolog) oraz autor tej relacji. Wymieniali się pracownicy PCK – mgr Andrzej Karski, Andrzej Szuwarski, mgr Stefan Pedrycz oraz mgr Eugeniusz Taradajko. W badaniach udział wzięli, wymieniając się co miesiąc, studenci archeologii – Ewa Poturalska, Olgierd Ławrynowicz, Mariusz Ziółkowski, Karol Tomczyk, Piotr Kittel i Mariusz Jagiełło.

polskiej gazety, a także czterolistną złotą koniczynkę, zapewne na szczęście, złotą 5-rublową monetę z 1899 r. i złoty dukat arcybiskupa Salzburga z 1726 r.

Druga trumna kryje szczątki generała w stanie spoczynku Bronisława Bohaterewicza. Znalaziono przy nich jeden naramiennik generała brygady. Gdy Go mordowano, miał 70 lat.



Wiesław Lorkiewicz przy szczątkach generała Bronisława Bohaterewicza

Pierwsza z trumien znajduje się w odległości 40 centymetrów od zbiorowej mogiły określonej w 1943 r. jako bratnia nr 1. Jest poza terenem prowizorycznego cmentarza urządzonego przed laty przez Rosjan, za wzniesionym tak zwanym memoriałem, po prawej stronie od dwóch kilkumetrowych krzyży. Dopiero teraz udało się to miejsce, zarośnięte do tej pory chwastami i krzewami, odnaleźć. Pozostałe betonowe fundamenty świadczą o tym, że przez środek tej mogiły, o powierzchni ok. 7 na 9 metrów, przebiegało ogrodzenie obszaru wytyczonego przez NKWD. Szczątki leżą w równych rzędach, w tak zwanym porządku anatomicznym. Resztki mundurów, zmurszałe oficerskie buty. Głowy spoczywają na nogach braci żołnierzy. Niemal w każdej czaszce w okolicy czołowej widoczne są otwory po wylocie pocisku.

Wielkie pole zbrodniczo zadanej śmierci.

W pierwszych warstwach mogiła wyglądała inaczej. Na głębokości 60 cm natrafiono na dwa skupiska ludzkich kości i fragmenty umundurowania. Po usunięciu kolejnej warstwy ziemi, w części tego grobu, zauważono niekompletne zwłoki, wiele z nich bez czaszek, wrzucanych w 1944 r. przez komisję Burdenki byle jak.



Szczątki generała Mieczysława Smorawińskiego złożone do trumny

Teraz szczątki Generałów zostają przeniesione do dębowych trumien. Właśnie w nowej trumnie, widok starannie ułożonych nagich „w straż nie oddanych kolumnowym czołom” ludzkich kości, które pozostaną na obcej, nadal niestety nieprzyjaznej ziemi, jest wstrząsający. To jedna z tych chwil, gdy nagromadzone wrażenia uderzają niespodziewanie, z nieprzewidywaną siłą. I pozostawiają trwałe ślady u każdego z nas.

Pierwszego dnia otrzymuję niewdzięczne zadanie nadzorowania pracy rosyjskich żołnierzy. Od kolegów dowiaduję się też o szczególnych utrudnieniach, z jakimi przyszło się zmierzyć polskiej ekipie. Sygnały o nich docierały wcześniej do kraju. Po przyjeździe 1 czerwca okazało się, że strona rosyjska nie wywiązała się ze zobowiązań określonych w umowie zawartej na szczepku między państwami. Nie było zatem przyrzeczonego sprzętu (m.in. koparki i spychacza) ani siły roboczej. Nie dostarczono nawet samochodu, którym ekipa mogłaby dojeżdżać z hotelu w Smoleńsku do Katynia. Dopiero po trzech tygodniach zdecydowano się przydzielić stary, pamiętający nie wiadomo jakie czasy, mały autobus. Gdyby nie polonez wypożyczony dzięki właściwej postawie dyrektora generalnego FSO w Warszawie, Andrzeja Tyszkiewicza, żadne prace nie mogłyby się w ogóle rozpocząć. A inne szykany... Członkowie ekipy znosili je ze spokojem. Nie dać się sprowokować – rozumował kierownik ekipy. Bo niewykluczone, że im chodzi o to, by Polacy z powodu niemożliwości realizowania zadań, spakowali się i wyjechali. Wszystko na to wskazywało. Mówili nawet o tym niektórzy Rosjanie, że prace usiłują torpedować władze Smoleńszczyzny, a przede wszystkim gubernator Smoleńska Głuszenkow, zatwardziały komunista, którego wrogię wobec nas zachowania poznaliśmy już w ubiegłym roku. Na tyle ponoć silny, że miał ignorować polecenia Moskwy, w co dość trudno było uwierzyć.

Nie wszyscy jednak zachowywali się tak samo. Łatwiej było porozumieć się z władzami niższych szczebli. Pani doktor Magdalenie Blomberg udało się po pewnym czasie załatwić odpłatnie samochód u wicemera Smoleńska. Zażądał słoneż zapłaty, ale gdy jednego dnia przydzielił autobus bardziej zniszczony, z własnej inicjatywy obniżył cenę.

Profesor Głosek zdecydował się zatrudnić pięciu miejscowych, co wywołało wściekłość przedstawicieli władz. Po trwających dyskusjach i groźbach z ich strony porozumiano się co do tego, że ludzie ci zostaną zatrudnieni przez lokalną administrację. Ponieważ jednak nie płacono im, porzucali pracę jeden po drugim. Pozostał tylko Stanisław Komarow, trzydziestokilkuletni mężczyzna. Opowiadał o sobie, że jest z pochodzenia Polakiem, mieszkał na Białorusi, jego ojciec nazywał się Komarski, ale ponieważ chciał robić karierę w wojsku, więc zmienił nazwisko. On sam, idąc w ślady ojca, też wstąpił do Armii Czerwonej, został oficerem, stacjonował w Legnicy, a potem w Grodnie, dosłużył się stopnia kapitana. Odszedł jednak z wojska, bo pół roku nie otrzymywał wynagrodzenia. Był bardzo pracowity, spokojny. Ekipa wiele mu zawdzięczała.

Dowiaduję się też, że po ponad 3 tygodniach przysłano oddział żołnierzy pod dowództwem młodego oficera w stopniu kapitana. Miał za sobą wojnę w Afgani-



stanie. Dzięki niemu prace mogły sprawnie przebiegać. Był wymagający, ale zauważono, że bardzo dba o podwładnych. Oni zaś byli do niego przywiązani. Któregoś dnia powiadomił profesora Głoska, że jego żołnierzy, z którymi ekipa żyła się, bo pracowali chętnie i dobrze, wysyłają do Czeczenii. Ale bez niego. Domagał się, by pozostał ich dowódcą. Nie wyrażono na to zgody. Przyjeżdżał do nas później kilkakrotnie i wciąż o tym mówił. Profesor Głosek znalazł się na dworcu kolejowym w Smoleńsku, wiedząc którego wieczoru młodzi ludzie wyruszą w podróż. Dla niejednego z nich ostatnią. Marian Głosek zwykł codziennie dawać znak do rozpoczęcia prac, przerw i zakończenia trzykrotnym klaśnięciem dłoni. Zaklaskał więc i tutaj z całej siły. Wówczas z jednego z wagonów, z daleka wychyliły się głowy, zamachało wiele rąk.

Teraz przyjeżdża, zamiast czterdziestu żołnierzy obiecanych w umowie, zaledwie dwudziestu pięciu. Każdego dnia się zmieniają. Są bez dowódcy. Z jakimś przypadkowym podoficerem ze służb pomocniczych. Najczęściej z wojskowej orkiestry. Szeregowi mają go za nic. On sam obawia się nawet podnieść na nich głos. Pozostawieni kilka minut bez nadzoru, rozchodzą się po lesie. Siadają, palą papierosy, albo po prostu zasypiają. Próbuje z nimi współpracować na różne sposoby. Łagodne przynaglania, przyjacielskie gesty, w stosunku do większości żołdatów na nic się zdają. Jediną skuteczną metodą okazuje się krzyk, z czym początkowo mam spore trudności. Obce bowiem były mi do tej pory wojskowe zwyczaje.

Około południa trzy klaśnięcia, godzinna przerwa na obiad. Jedziemy ok. 10 kilometrów do kolchozowej stołówki we wsi Katyń. Jedzenie lepsze od niejadalnych w wielu wypadkach posiłków podawanych w hotelu „Rossija” w Smoleńsku. Również personel stołówki odnosi się do nas ze szczerą życzliwością, nakłaniając do zjedzenia jeszcze jednego, najczęściej smacznego dania. Całkowicie odmiennie niż w hotelowej restauracji, w której kelnerzy i kelnerki jakby złośliwie ślamazarni, zachowują się wobec nas z nieskrywaną niechęcią. Nic się tu nie zmieniło od ubiegłego roku.

Praca trwa do godziny 17.30. Później chowanie sprzętu, mycie się i odjazd zdezelowanym autobusem do hotelu, gdzie wielu z członków ekipy przystępuje do wielogodzinnej pracy nad dokumentacją.

Prowadzone w 1995 r. prace miały na celu: zlokalizowanie mogiły nr 1, w której w 1943 r. złożono zwłoki polskich oficerów przeniesione z „dołów śmierci”, gdzie zostały wrzucone po zbiorowym mordzie, utworzenie bratniej mogiły nr 6, odnalezienie dwóch grobów generałów i szczegółowe przeszukanie „dołów śmierci” od numeru 1 do 7, a także sprawdzenie „dołu śmierci” nr 8, położonego nieco dalej. Istotnym zadaniem było wytyczenie granic pod przyszły cmentarz wojskowy.

W poprzednim roku, dzięki wielkiej liczbie sondaży, mimo bardzo krótkiego, bo trzytygodniowego tylko, pobytu polskiej ekipy, dobrze przygotowano te prace.

Gdy przyjechałem w 1995 roku do Katynia prace były bardzo zaawansowane. Poza mogiłami nr 1 i 6, oraz grobami Generałów zostały odkryte wszystkie „doły śmierci” i trwało ich dokładne badanie.

„Dół śmierci” nr 1, w kształcie litery L, miał długość 26 metrów i szerokość od 6 do 8 metrów. Obok ludzkich pojedynczych kości, zwłaszcza rąk i nóg znajdowały

się, tak jak i w innych dołach, fragmenty polskich mundurów wojskowych, wiele polskich monet, guziki wojskowe.

Dół nr 2 miał wymiary 20 na ok. 6 metrów. Tu także ludzkie kości, przede wszystkim dłoni i stóp, pociski i łuski od amunicji kaliber 7,65 typu Browning firmy Geco.

Dół nr 3 to wykop ok. 10 metrów na 4 metry. W nim znajdowały się dwa duże skupiska przedmiotów (blisko 1500), które według przypuszczeń wrzucono w 1943 r. po zakończeniu ekshumacji. Wśród nich były: order Virtuti Militari, Krzyż Walecznych, portmonetki, portfele z inicjałami.

Dół nr 4 o wymiarach ok. 11 na ok. 3 metry i nr 5 wielkości 8,5 na 4 metry odkryte były już w ubiegłym roku. Teraz dokładnie je sprawdzono, starannie wybierając ludzkie kości.

W dole nr 6 o powierzchni 12,7 na 4,6 metra, na głębokości nieco ponad 2 metry znaleziono dwie czaszki. A trochę niżej podczas ostrożnego zbierania kolejnej warstwy ziemi, natrafiono na popielatą zbitą materię. Doktor Magdalena Blomberg pracuje tu w wyjątkowo uciążliwych warunkach. Do wykopu podchodzi woda, wydobywa się nieprzyjemny zapach daleko posuniętego rozkładu części organicznych. Przez wiele dni obserwuję niezwykle mozolną pracę pani doktor. Powoli wyłaniają się cztery postacie, leżące na sobie, twarzami do ziemi, z rękoma na plecach ułożonymi w sposób charakterystyczny dla ich skrępowania. Również układ nóg dwóch zwłok świadczy o tym, że mogły być związane. Tych Polaków nie ekshumowano w 1943 r. Spoczywają w dole tak, jak je wrzucono po rozstrzelaniu w 1940 r. Magdalena Blomberg, antropolog dr Bogdan Łuczak i Wiesław Lorkiewicz oraz dr Marek Dutkiewicz – ekspert od militariów przystępują do rozdzielania ciał, ich rozebrania i przeszukania tego, co po pięćdziesięciu latach zostało z mundurów. Niestety nie ma żadnych przedmiotów, umożliwiających poznanie nazwisk ofiar, o które powiększyła się lista zamordowanych w Katyniu. Przy jednych zwłokach jest tylko ryngraf z Matką Boską i wygrawerowanym napisem: „Pamiętka ślubowania Nauczycielstwa Polskiego na Jasnej Górze 21.VI.1937 r.”

W tym wykopie natrafiono też na dużo wojskowych czapek, butów, pasów, łusek i pocisków.

Trzy i pół metra dalej na południowy wschód znajdował się odkryty teraz „dół śmierci” nr 7. Jego rozmiary odtworzone zostały dzięki metodom archeologicznym, jak we wszystkich poprzednich wypadkach, bardzo precyzyjnie. Wynosiły 9,3 na 4,6 metra. Zawierał resztki polskiego umundurowania.

„Dół śmierci” nr 8 położony jest w odległości 100 metrów na południowy zachód od „dołu śmierci” nr 5. Jego wymiary 7,2 na 4 metry. To tu powinny znajdować się zwłoki blisko dwustu Polaków, które odkryto w 1943 r., ale nie zdążono przenieść do bratniej mogiły. Są natomiast tylko pojedyncze ludzkie kości, jakby pozostały po nieuważnym zacieranu śladów zbrodni. Teraz ekshumowano je ze szczególną starannością. To miejsce pozostaje bowiem poza obszarem planowanego cmentarza polskiego.

20 sierpnia w sobotę około godziny 11 przyjeżdżają do Lasu Katyńskiego Andrzej

Przewoźnik, ksiądz Zdzisław Peszkowski i ksiądz Bernard Pełka. Wracają do Polski z ekipą z Miednoje, która zakończyła prace ekshumacyjne. Księża odprawiają mszę przy otwartej mogile. Przejęta twarz księdza Pełki, spoglądającego podczas nabożeństwa na tych, których oskarżające kości spopielili słońce. I, tym razem oszczędne, słowa księdza prałata Peszkowskiego stojącego przy martwych swoich Kolegach z obozu w Kozielsku: *Boże spraw, aby Ich ofiara nie była daremna.*

Później krótkie spotkanie z ekipą ekspertów, która pracowała w Miednoje. W nieprawdopodobnie trudnych warunkach, które sam poznałem w 1991 roku, przeprowadzono ekshumację kilku tysięcy zwłok. Jadą do Katynia, oddać hołd tam spoczywającym.

Następnego dnia udajemy się do katolickiego kościoła. Właściwa, duża, neogotycka świątynia jest zamknięta, mieści się w niej miejscowe archiwum i jakieś przedsiębiorstwo. Wkrótce będzie tu ruina. Ściany porastają zielskiem, a wyżej sporymi brzoźkami, których korzenie rozsadzają mury. Nabożeństwa zatem odprawiane są w baraku, stojącym w pobliżu. Franciszkanin, ojciec Ptolomeusz Jacek Kuczmik – proboszcz parafii Niepokalanego Poczęcia NMP – mieszka w cmentarnej grobowej kaplicy nad trumnami rodziny Komorowskich. Groby, wśród nich rodziny Giedroyciów, na nieogrodzonym, skrajnie zaniedbanym cmentarzu są w złym stanie. Gdy ojciec Ptolomeusz postanowił je przy pomocy kilku parafian uporządkować, został wezwany do Komisji ds. Administracyjnych (tamtejsze Kolegium ds. Wykroczeń), gdzie postawiono mu zarzut niszczenia zabytkowego cmentarza. To się działo bardzo niedawno, gdy Związek Radziecki formalnie przestał istnieć. Starania o odzyskanie kościoła jak dotychczas są bezskuteczne. Ale proboszcz nie traci nadziei, nie ustaje w wysiłkach, mimo że spotyka się z różnymi szykanami. Opowiadał nam, jak to podczas mszy odprawianej na zewnątrz kościoła – baraku, przez przybyłego do smoleńskiej parafii biskupa, w warsztacie stolarskim tuż obok pracowała głośno elektryczna piła. Żadne prośby o jej wyłączenie nie pomogły. Nie dość tego. W pewnej chwili pracownicy stolarni zaczęli przenosić trumnę, wchodząc bezceremonialnie w tłum modlących się ludzi w pobliżu połowego ołtarza. „Złośliwość czy chamstwo?” pytamy. „Brak wycucia” – odpowiada franciszkanin. Człowiek twardy, ale o łagodnym sercu. Tolerancyjny wobec ludzi, pośród których zdecydował się żyć. To postać niezwykła. Trzydziestokilkuletni, inteligentny, o przyjemnej aparycji. Mówi, że mógł wybrać inną misję, w innej stronie świata. Ale uważa, że właśnie tu być powinien. W tym miejscu i z tymi ludźmi.

Mszę świętą odprawia częściowo po rosyjsku, częściowo po polsku. Ewangelię czyta w dwóch językach. Kazanie, ciepłe, mądre mówi po rosyjsku. Na małych elektrycznych organach gra młoda dziewczyna. Śpiewa bardzo czystym, dobrze ustawionym głosem. Kilkudziesięciu wiernych, niektórzy z nich Rosjanie – katolicy modlą się z niegdysiejszą żarliwością, wzruszającym oddaniem tępionej tu wierze. Gdy obserwuje się tych ludzi, łatwiej zrozumieć wybór ojca Kuczmiaka.

21 sierpnia profesor Głosek przed rozpoczęciem prac przypomina o konieczności zachowania dyscypliny, tłumaczy, że jesteśmy pod stałą baczną obserwacją Rosjan.

Tego dnia przyjechało mniej żołnierzy. Profesor kieruje mnie do pracy w mogile numer 6, którą nadzoruje antropolog dr Bogdan Łuczak z Łodzi. Ta mogiła jest położona poza czterema kwaterami. Na lewo od krzyży. Dotychczas na niej był chodnik, a nieco dalej zarośla. Teraz wykop ujawnia warstwę złożoną z dziesiątków niekompletnych szkieletów. Schodzę do mogiły i za pomocą szpachelki i pędzelka ostrożnie usuwam ziemię odsłaniając kolejne szczątki.

Następnego dnia żołnierze nie zjawiają się. Marian Głosek dzwoni, z telefonu zainstalowanego w lesie, do wicegubernatora obłasti smoleńskiej Nowikowa, który ma nadzorować właściwe wywiązywanie się ze zobowiązań strony rosyjskiej. Nowikowa nie ma. Po wielu interwencjach, z dwugodzinnym opóźnieniem, przyjeżdża tylko dwudziestu żołnierzy. Nowi, przypadkowo przydzieleni do prac. Trzeba ich przyuczać, bo chociaż wykonują pracę fizyczną, to wymaga ona pewnych umiejętności.

Pracuję nadal w mogile, jak inni. Tu każdy wykonuje taką pracę, która okazuje się potrzebną w danej chwili. Nikt się nie zżyma, nie zauważyłem bodaj jednego grymasu niechęci, nie mówiąc już o sprzeciwie wobec poleceń kierownika ekipy, wyrażanych zresztą najczęściej w formie pytania lub prośby. I jeśli już napisałem o upomnieniach niektórych przez kierownika, nie dotyczyło to nigdy dyscypliny podczas prac.

Pogoda sprzyja. Jest słonecznie, dość ciepło.

W swoim pisanim „na gorąco” dzienniku notuję wiele szczegółów. Jak dalece zrelacjonować teraz to, co się widziało? Gdzie wyznaczyć granice tego, co do przekazania innym, a co pozostawić wyłącznie dla siebie? Niech za przykład takiego dylematu, tu rozwiązanego – z poważnym wahaniem – na rzecz bezwzględnej wierności faktom, posłuży okoliczność znalezienia przy jednych szczątkach portfela; w nim doskonale zachowany pukiel kobiecych włosów oraz 3 prezerwatywy.

Wszystkie ukazujące się opracowania dotyczące działalności ekshumacyjnej ograniczają się najczęściej do podawania suchych informacji o metodach i zakresie zrealizowania zleconego zadania. Wydaje się, że winno znaleźć się miejsce i na niedopowiedziane gdzie indziej fakty. Ale być może ten czas jeszcze nie nadszedł.

Przed profesorem Marianem Głoskiem stało niełatwe zadanie: wytyczenie granic przyszłego polskiego cmentarza wojskowego. Polecał dokonywać setki odwiertów świdrami geologicznymi w miejscach, w których ukształtowanie terenu nasuwało przypuszczenie, że ziemia kryje zakopane potajemnie zwłoki. Rezultatem tych odwiertów i później kilku sondażowych wykopów było ustalenie, że w Lesie Katyńskim oprócz oficerów polskich z Kozielska znajduje się około 150 zbiorowych mogił Rosjan. Położone są one jednak w dość znacznej odległości od „dołów śmierci” i sześciu bratnich mogił, co stanowi dodatkowy argument przeciwko powstaniu – czego nadal żądają niektórzy ze strony rosyjskiej – wspólnego cmentarza ofiar totalitaryzmu.

Właśnie jeden z wykopów ujawnił zwłoki, z charakterystyczną rosyjską robotą dentystyczną. Jedne szczątki z pełną protezą, ze złota. Przyjechał wicegubernator Anatolij Nowikow i rzekomy dyrektor departamentu kultury obłasti smoleńskiej

Władimir Pietrowicz Teslin, o którym wszyscy już wiedzą, że jest funkcjonariuszem Federalnej Służby Bezpieczeństwa, spadkobierczyni KGB. Obejrżeli odkryte szkielety. Obu panów zintrygowały złote szczęki. Nic więcej. Żadnej dokumentacji, żadnego postępowania. Zakopać. W kilka dni później Nowikow zdradził swe przypuszczenia. Szczątki ze złotą szczęką należą najprawdopodobniej do marszałka Wasilija Blüchera, który zasłynął jako dowódca bolszewickiej armii na Dalekim Wschodzie. Został rozstrzelany z rozkazu Stalina w 1938 roku. Emocji nie było widać na twarzy wicegubernatora.

23 sierpnia. Odkryta warstwa szkieletów w mogile nr 6 została opisana, naniesiona na szkic i sfotografowana przez archeologa – fotografa Gabriela Rykla. Należy podnieść (tak określa się tu najczęściej czynności ekshumacyjne) pewną liczbę szczątków, żeby dotrzeć do kolejnej warstwy i następnie ją zbadać. Dotychczas moja praca polegała na odsłanianiu zwłok. Teraz przyszło mi sięgnąć po kości obleczone w resztki polskich mundurów. Niejednokrotnie trzeba szarpnąć odkrywane szczątki.

To jeszcze jedno trudne doświadczenie. Doktor antropologii Bogdan Łuczak, który nadzoruje prace w mogile nr 6, zwlekał z decyzją o ograniczonym wyekshumowaniu tego grobu... Jakby chciał odwlec w czasie „naruszenie spokoju tych kości”. Ale jest to konieczność. Obserwuję z jakim pietyzmem odnosi się do każdej, najdrobniejszej ludzkiej kości. Nie padną wówczas te słowa w rozmowie z nim, ani z innymi, ale większość z nas przecież odczuwa, że oto dotykamy największych narodowych relikwii.

Podnoszę czaszkę z roztrzaskanym od wylotu pocisku czołem. Szwy czaszkowe dobrze widoczne, nie zrośnięte. Pytam Bogdana Łuczaka:

– Miał od 20 do 30 lat?

– Można określić precyzyjniej – odpowiada. – Od 20 lat do 25.

Wraca w milczeniu do pracy. To są te chwile, w których wszystko zastępuje wymiana spojrzeń.

Tuż obok tkwi w ziemi noga w bucie podeszwą do góry. But reperowany uproszczoną obozową metodą. Inne dwa buty na nogach, z zachowanymi dobrze sznurowadłami związanymi równolegle, starannie na krótki czas przed śmiercią, która przyszła znienacka. Z broni przystawionej do głowy. W sąsiedniej mogile wydobyto czaszkę z dwoma, jeden przy drugim otworami wlotowymi w potylicy. Erazm Baran stawia hipotezę, że być może broń mordercy z NKWD źle zadziałała, jedno pociągnięcie za spust spowodowało dwa strzały. Marek Dutkiewicz, znawca militariów, nie bardzo się z tym zgadza. Mówię, że być może ofiara szarpnęła się, oprawca mógł pociągnąć nerwowo za spust drugi raz.

– Dość! Dość! – przerywa Dutkiewicz. – Nie wolno pozwalać sobie na takie dywagacje. Tu nie wolno.

Doktor Dutkiewicz, którego poznałem w ubiegłym roku podczas prac w Katyniu, jest człowiekiem wielkiej wrażliwości i bardzo oddanym sprawie katyńskiej. To jeden z tych, z którym bliska współpracy przywraca wiarę w sens tego, co robimy. Wiarę wystawianą niekiedy na ciężką próbę.

Po południu Marian Głosek prosi, abym oprowadził kilkanaście osób, chcących zapoznać się z naszą działalnością. To jedna z wielu grup, które tu się pojawiają. Była już wycieczka Amerykanów. Czarni, biali – wszyscy ubrani jakoś pstrokato. Hałaśliwi. Dopiero gdy dotarli do otwartych mogił, nieco ucichli. Wykonywali dużo zdjęć. Zdaje się w pierwszej chwili traktowali nasze prace, jak wykopaliska archeologiczne.

Ci są Rosjanami, w większości w średnim wieku. Wśród nich tylko trzy starsze osoby. Mężczyźni w szarych, źle dopasowanych garniturach, kobiety w bardziej kolorowych, ale tandetnych ubraniach. Zmęczone twarze. Robią wrażenie wracających z jakiejś narady w stolicy oblasti.

Przedstawiam się. Uśmiechają się przyjaźnie. Bardzo chętnie zapoznajemy przyjeżdżających tutaj z charakterem i celem prac. Wstrząsająca to bowiem i niepowtarzalna lekcja historii. Idąc do mogiły numer jeden przypominam podstawowe fakty dotyczące Zbrodni Katyńskiej. I w tym momencie około sześćdziesięcioletni, niski, szczupły i bardzo ruchliwy mężczyzna gwałtownie mi przerywa:

– Co wy tu opowiadacie, jakie NKWD, jaki rok czterdziesty? Były niemieckie pociągi? Były. Więc co? Przecież od dawna wszystko jasne.

Nie ukrywam zaskoczenia i zdziwienia. Jest przecież rok 1995. Wszystko również tu, w Rosji zostało głośno powiedziane. Oprócz dokumentów ujawniono zeznania Soprunienki, Tokariewa i Syromiatnikowa, którzy, choć nie przyznawali się do win, nie ukrywali swego udziału w zbrodniczej akcji. Wydawało się czymś nieprawdopodobnym, że gdziekolwiek na świecie są ludzie, którzy mogą do dziś wierzyć w wielkie, półwieczne sowieckie kłamstwo. Jeszcze nie zdradził swoich wątpliwości wicegubernator Nowikow. Jeszcze nie wydano plugawej książki Jurija Muchina pt. „Katyński kryminał”. Tłumaczę zatem spokojnie. Mężczyzna wybucha:

– Co wy tu za bzdury opowiadacie? Ludzi okłamujecie. U siebie, u nas.

– A dokumenty – pytam – przekazane przez Jelcyna Wałęsie?

Mężczyzna śmieje się.

– Uwierzycie propagandzie tego alkoholika i zdrajcy? Jak to, nie zorientowaliście się, że to „fałszywka”? Podpis Stalina jest na druku KPSS, a wówczas partia nazywała się WKP (b).

Pytam, czy aby na pewno widział kopie tych dokumentów. Ściśle tajne pismo Berii z 5 marca 1940 r. jest na druku Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych i skierowane do CK WKP (b) właśnie.

– Nonsens! – wykrzykuje mężczyzna. Jest w gniewnej euforii. Biega wokół mogił, zwraca się coraz do swoich rodaków, jest jakby prowadzącym tę grupę.

Przechodzę w pewnej chwili obok kilku członków naszej ekipy. Mówię, że ci Rosjanie nie wierzą, że to zrobiło NKWD. Profesor Głosek odpowiada, że w takim razie dobrze, że mnie do nich skierował.

– Jesteś adwokatem. Kto od ciebie dysponuje lepszymi umiejętnościami przekonywania.

Pokazuję cztery splecione zwłoki, spoczywające jeszcze w „dole śmierci”. Z rękami wykręconymi do tyłu. Większość Rosjan tak jak i poprzednio milczy. Wstrząśnięci

tym widokiem. Widać, że i na moim rozmówcy obraz ten robi wrażenie. Ale szybko dochodzi do siebie.

– Czy mają związane ręce sznurkiem? – pyta.

Mówię, że zaraz to będzie sprawdzone.

– Dobrze tylko sprawdzajcie. – Podnosi palec do góry. – Czy są tu jacyś nasi, którzy was nadzorują? Jeśli związane ich sznurkiem konopnym, to powinien zostać. Nawet w piramidach go odnaleziono. A gdyby był, to jeszcze jeden dowód, że to nie zrobili Rosjanie. W Rosji nie było sznurka konopnego, tylko „bumażnyj” (papierowy). On na pewno by się rozpadł.

Nie wiem, czy w Rosji nie było konopnych sznurków, wycieczka odejdzie zanim się wyjaśni, że nie ma pozostałości po żadnym sznurku. Dalej jednak tłumaczę, podaję fakty, których nikt już dziś nie podważa. To trwa ponad godzinę.

Mężczyzna ironicznie się uśmiecha, coś tam wtrąca lekceważąco. I wtedy odzywa się kobieta około czterdziestki. Inteligentna, zadbana. Ma jeden złoty ząb, relikw minionej mody.

– On ma rację. Ulegliście jak inni propagandzie niemieckiej. Mam szczególne prawo o tym mówić. Jestem po ojcu pół Polką. Ja wiem, że to zrobili Niemcy. Moi rodzice mieszkali w czasie wojny niedaleko Smoleńska. I opowiadali mi już dawno, że jeszcze w czterdziestym trzecim roku ukrywali się po lasach polscy oficerowie. Okoliczni ludzie dawali im chleb. Moi rodzice sami dawali im jedzenie. Później Niemcy ich wszystkich wyłapali i rozstrzelali tutaj.

Jak polemizować z takim argumentem. Mimo to nadal staram się im uprzytomnić, jak dalece mijają się z prawdą. Opuścił mnie jednak spokój.

W pewnej chwili nachyla się do mnie wysoka kobieta, rówieśnica pół Polki. Mówi cicho, prawie szepcze.

– Nie denerwujcie się, nie martwcie się. Mnie i nas (nie wiadomo, kogo ma na myśli), nie trzeba już przekonywać. Wiemy, jak było. A ich – pokazuje wzrokiem tamtych dwoje – nic nie przekona.

Tuż obok nas stoi inna kobieta. Nieco starsza. Dotychczas odnosiłem wrażenie, że trzyma stronę nieprzejednanej w swoich poglądach dwójki. Ale może coś, mimo wszystko, do niej dotarło. Pyta mnie jednak agresywnie.

– My jesteście temu winni?

Biorę ją za rękę.

– My do was nie żyjemy wrogości.

Kobieta uśmiecha się powściągliwie, jakby niedowierzając moim słowom.

Mężczyzna zaś nadal swoje:

– Ja nie mówię, że za Stalina nie zabijali. Zabijali, ale w budynkach NKWD. Nigdy w lesie. To niemiecka, a nie ich metoda. NKWD zabijało pokryjomu. A tu? Czy strzelano by 200–300 metrów od ruchliwej drogi?

Ogarnia mnie poczucie bezradności. Jak dotrzeć do tych ludzi? Dla których prezydent Jelcyń jest zdegenerowanym zdrajcą, zaś trzej zeznający funkcjonariusze NKWD – co najmniej dwóch z nich miało na sumieniu zbrodnię ludobójstwa – to sklerotycy wykorzystani w niecej grze przeciwko komunistycznej partii Związku

Radzieckiego. Przecież – rozumiem – wśród tej grupy być może jest więcej podobnie myślących jak tych dwoje, którzy ujawnili swoje poglądy. Większość z nich bowiem milczy. Nie pozostało nic z sympatycznych uśmiechów na początku spotkania. Mają zacięte miny. Czy te straszne widoki tak zaostryły ich twarze? Czy też raczej to niemy wyraz wrogości do mnie?

Nie ustaję w przekonywaniu. To zapewne jedno z najtrudniejszych, jeśli nie najtrudniejsze w życiu – moje wystąpienie.

Stary Rosjanin zamilkł. Wpatruje się jednak we mnie uważnie. I nagle, nie nawiązując do tego co mówię, wyrzuca:

– A co wyście robili z naszymi czerwonoarmistami wziętymi do niewoli w roku 1920? Tysiącami ich mordowaliście.

– Czerdzieści tysięcy ludzi – mówi pół Polka.

– Sześćdziesiąt – poprawia mężczyzna.

Znów staram się tłumaczyć, iż tkwią w fałszywym przeświadczeniu. I myślę w owej chwili, jak daleka jeszcze droga przed obu narodami, by zlikwidować raz na zawsze nieudomowienia, niejasności i zwykłe fałszerstwa historii. Jak wiele do zrobienia, skoro w takim miejscu, przy otwartych mogiłach, ktoś próbuje licytować rzekome wzajemne winy.

W tej sytuacji nie dość powtarzania, że za wszelką cenę doprowadzić trzeba, po jednej i drugiej stronie, do wyjaśnienia rzeczy niedopowiedzianych. To musi wynikać z rzetelnej wiedzy, wspólnie zdobywanej w oparciu o wszystkie, gdziekolwiek istniejące, a nieujawnione źródła. Ktoś zorientowany w tej tematyce zapewne mógłby mi w tym miejscu przerwać i zapytać: co na przykład czynić, jeśli Rosjanie nie reagują na propozycje zapoznania się z dokumentami dotyczącymi jeńców radzieckich wziętych do niewoli w wojnie bolszewickiej? Te materiały są bowiem dostępne dla rosyjskich historyków w każdej chwili. Wielokrotnie ponawiano tę propozycję, która pozostała bez odpowiedzi.

Muszę powiedzieć, że nie wierzę, by nie było możliwości dotarcia do takich Rosjan, którzy przyjmą zaproszenie do współpracy. Wymaga to tylko wysiłku, może większego niż dotychczasowy. Sprawa warta niezwykłego trudu.

Żegnaję się ze wszystkimi, których oprowadzałem, starając się nie okazać choćby odrobiny rozgoryczenia. Zadaję sobie pytanie, czy zrobiłem wszystko, co było można. Zapewne nie zdołałem jeszcze przytoczyć wielu ważnych argumentów, które w ostatniej chwili przychodzą do głowy. Ale oni już się śpieszą. Starszy mężczyzna zaczyna ponaglać. Pół Polka żegna się ze mną niespodziewanie serdecznie, nawet wylewnie. Mówi przy tym, że kocha Polskę i wkrótce tam pojedzie.

Patrzę jak odchodzą. Starszy mężczyzna kroczy na przedzie. Nie przestaje mówić. Gestykułuje. Na końcu idzie najmłodszy z tej grupy. Ma około trzydziestu lat. Pospolita, ale sympatyczna twarz. Odwrócił się raz, potem drugi. Zwolnił krok. Jakby się zastanawiał, czy nie wrócić. Może chciał mi coś powiedzieć. Ale nie zdecydował się. Obejrzał się tylko raz jeszcze i skinął głową na pożegnanie. Po chwili zniknął wraz z innymi za pierwszym zakrętem leśnej drogi, prowadzącej do szosy Smoleńsk–Witebsk.



Najbliższej nocy nie mogłem usnąć. Sięgnąłem do pracy doktora Andrzeja Nowaka pt. „Jak rozbić rosyjskie imperium?” traktującej o ideach polskiej polityki wschodniej w latach 1733–1921. I podczas nocnej lektury tej interesującej książki natknąłem się na takie pytania: «Czy Rosja może być „zbawiona”? Czy można w niej znaleźć partnera gotowego do rezygnacji z despotyczno-niewolniczej tradycji imperium? Czy można oprzeć nadzieje Polski i jej sąsiadów, zniewolonych w imperium, na „innej”, „nowej” Rosji? Czy też jest tylko jedna Rosja, niezmienna pod tym – najważniejszym z punktu widzenia narodów Europy Wschodniej – względem: wieczna, wierna zawsze swej imperialnej misji niezależnie od tego czy „biała”, czy „czerwona”?»

Tej nocy spałem dwie, może trzy godziny. Rano byłem przed hotelem spóźniony o dwie minuty. Nasz samochód odjechał. Jakoś nikt w pierwszej chwili nie zorientował się, że mnie nie ma. Później dowiedziałem się, że podczas drogi, gdy zauważono moją nieobecność, wysłano po mnie poloneza. Ja jednak, odczekawszy chwilę, postanowiłem dostać się do Katynia autobusem podmiejskim. Dojechałem na dworzec, z pewnym trudem odnalazłem przystanek autobusu odjeżdżającego w tamtym kierunku. Upewniłem się u oczekujących. Do koszuli miałem przypiętą biało-czerwoną plakietkę z napisem „Rzeczpospolita Polska. Prace sondażowo-ekshumacyjne. Katyń 1995 r.”. Wzbudziłem życzliwe zainteresowanie. Jakaś kobieta w autobusie pytała, czy wiem, gdzie wysiąść. Poszła do kierowcy i powiedziała, żeby zatrzymał autobus na przystanku „na żądanie” przy Katyńskim Lesie. Później mówiła, że była podczas odkrywania grobów generałów. O tym, że dobrze robimy szukając pomordowanych Polaków.

– Żeby ktoś zainteresował się naszymi – dodała. – Nie, na to nie można liczyć – sama sobie udzieliła odpowiedzi. – Bo u nas – to już dodała tonem rezygnacji – niewiele się zmieniło.

Zaraz po przyjeździe rozpoczynam pracę przy podnoszeniu kolejnych szczątków. Przy wielu z nich zachowały się większe fragmenty, zdarza się, że całe mundury. Rozpadają się w rękach. Później obserwuję trwające nadal prace przy czterech nieekshumowanych w 1943 r. zwłokach. Mogiła jest podmokła, należy bez przerwy wybierać wiadrami podchodzącą wodę. Ciała przemienione w tłuszczo-wosk zachowały swoje kształty. Zwłoki są rozbierane, każdy fragment munduru musi być dokładnie sprawdzony. W jednej z czaszek zachował się bardzo dobrze cały mózg.

Gorący dzień. W południe słońce praży niemiłosiernie. Pod wieczór wracamy bardziej niż zwykle zmęczeni i udęczeni.

Autobus zatrzymuje się przed hotelem. Lazurowe wręcz niebo, zachodzące słońce. Wieje lekki, orzeźwiający wiatr. Smoleńska ulica pełna ludzi, roześmianej młodzieży, matek przywołujących krzyczące wesoło dzieci. Życie. Normalny świat. Głębiej odetchnąć. Poczucie ulgi. Jednocześnie z bolesną ostrością daje o sobie znać świadomość, w czym t a m bierzemy udział, czego śladów i dowodów dotykamy.

Profesor Głosek mówi, że rodzina generała Smorawińskiego zamierza przekazać przedmioty ze złota, znalezione w trumnie, Muzeum Katyńskiemu w Krakowie lub złożyć na Jasnej Górze. Tymczasem Wiaczesław Briagin, przewodniczący rosyjskiej komisji rządowej do spraw Zbrodni Katyńskiej sprzeciwia się temu, twierdząc, że

przedmioty te winny pozostać w Rosji i być eksponowane w... muzeum w Katyniu. Później z tego zrezygnuje.

24 sierpnia podczas odpoczynku przechodzę do mogiły nr 1. Właśnie antropolog Wiesław Lorkiewicz podniósł czaszkę z pięcioma otworami w okolicy potylicznej. W czole cztery otwory wylotowe. Jeden pocisk tkwi wewnątrz czaszki.



Czaszka z pięcioma otworami po pociskach.  
Po lewej Wiesław Lorkiewicz, po prawej autor

Wieczorem Marian Głosek opowiada, że gdy jechał samochodem z wicegubernatorem Smoleńszczyzny Nowikowem, ten przekonywał go usilnie, że nie eks-humujemy Polaków, tylko Żydów zabitych i przebranych przez Niemców w polskie mundury.

– Żeby, *gospodin* Głosek – mówił Nowikow – nie miano do nas za sto lat pretensji. Za ten ciężki historyczny błąd, obciążenia winą Rosjan.

Anatolij Nowikow często podkreśla, że jest humanistą. Prócz administracyjnego stanowiska wykłada – jak twierdzi – filozofię i etykę na smoleńskiej wyższej uczelni. Postarzał się od zeszłego roku. Ale nadal mówi w sposób interesujący. Ma dobrze ustawiony, przyjemnie brzmiący głos.

25 sierpnia wyjeżdżamy do Kozielska około godziny ósmej, z pewnym opóźnieniem, albowiem pociąg, którym przyjeżdżają dr Bożena Łojek z Federacji Rodzin Katyńskich oraz Jolanta Adamska z Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, nie przyszedł o czasie.

W autokarze jadą z nami i inni. Towarzyski, rumiany na twarzy Wiktor Nikolajewicz Timoszenkow, przedstawiający się jako urzędnik awansowany ostatnio na wyższe stanowisko – naczelnika wydziału administracyjnego obłasti smoleńskiej, którego wszyscy jednak podejrzewają o pracę także w Federalnej Służbie Bezpieczeństwa, jakiś milczący wąsacz, ponoć wyznaczony na szefa grupy, która ma poszukiwać grobów rosyjskich w Katyniu, dziennikarka ze „Smoleńskich Nowosti” Anna Łapikowa oraz Swietłana Filonowa z moskiewskiej niezależnej gazety „Ros-sija”. Jest także przedstawiciel „Memoriału” – społecznej organizacji zajmującej się, jak wiadomo, tropieniem i demaskowaniem śladów zbrodni reżimu komunistycznego; są w niej byli funkcjonariusze partyjni a także NKWD. Aleksiej Aleksandrowicz Zabielin to bardzo stary, widać, że kiedyś silny mężczyzna o uszlachetnionej bujną siwizną aparycji. Trochę mówi po polsku, więcej rozumie. Gdy pytam, skąd znajomość naszego języka, odpowiada, że przebywał dwukrotnie, dość długo w Łodzi. W 1945 a później w 1956 roku. Ucieka jednak od odpowiedzi, co u nas robił. Coś tam w końcu wydukał, że pomagał polskim towarzyszom. Uśmiecha się jakoś dziwnie i krzywi się jednocześnie z niesmakiem na to przypomnienie. Można zauważyć, jak bardzo nie chce wspominać, na czym ta pomoc polegała. Dziś włączył się aktywnie w działalność „Memoriału”, bo zdrowie, prócz słuchu, dobrze mu jeszcze dopisuje. Niespełna dwa tygodnie później, podczas pożegnalnej kolacji opowiada, jak to będąc dorastającym chłopcem przebywał na jakiejś wsi w Kazachstanie. Widział stojący pociąg z bydłocymi wagonami. Jechały w nich kobiety. Na komendę strażnika wychodziły, by załatwić potrzeby fizjologiczne. Jedna z tych kobiet strasznie krzyczała: „Gdzie jest moja córka? Gdzie jest moja córka?” Nie rozumiał tych słów, nie wiedział w jakim języku ona woła. Ale te słowa wryły się w jego pamięci. Gdy w czterdziestym piątym roku przyjechał do Polski, usłyszał słowo „córka” w innej już intonacji. Wtedy dopiero zorientował się, że w tamtym pociągu wieziono Polki, i pojął sens przejmującego krzyku nieznannej kobiety.

Podczas drogi przeglądam dokumenty, dotyczące zgonów w 1939–1940 r. w obozach NKWD, przekazane polskiej ambasadzie przez Ministerstwo Spraw Zagranicz-

nych Rosji 22 lipca 1992 r. Niepełna lista, podpisana przez majora S.W. Szałamajewa, prokuratora wojskowego, wymienia 197 polskich żołnierzy.

W obozie starobielskim wykazano, że zmarło 19 uwięzionych Polaków, wśród nich Józefat (?) Andrzejewski został zastrzelony podczas ucieczki 11 października 1939 r. a Józef Wasilewski urodzony w 1889 r. popełnił samobójstwo.

W Ostaszkowie zmarło 46 osób.

W Kozielsku, dokąd jedziemy, 29 osób. Urodzony w 1898 r. Bazyli Zacharski popełnił samobójstwo 2 grudnia 1939 r. Umierali tam najczęściej ludzie w wieku powyżej czterdziestu lat. Urodzeni w 1884, 1893, 1898 r. Ale zmarł także siedemdziesięcioletni Ryszard Malinowski i zaledwie trzydziestoletni Wincenty Rupiński. Podejmiemy próbę odnalezienia Ich mogił.

Pozostali umierali między innymi w obozach w Gрязовцу, w Juchnowie, w Brodach, w Równem, we Lwowie, w Krzywym Rogu i w Wołogdzie. Czy kiedykolwiek uda się ustalić, gdzie zostali pogrzebani?

Marian Głosek odczytuje otrzymany list od Stowarzyszenia Rodzin Katyńskich Polski Południowej ze słowami solidarności i pamięci o nas. Słowa potrzebne, gdy wszyscy wiedzą, że w kraju niewiele, prawie nic nie mówi się o pracach, przygotowywanych przez wiele miesięcy przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, podczas których jej sekretarz generalny Andrzej Przewoźnik zmagał się z często niepojętymi wręcz trudnościami. Obserwując te wysiłki z bliskiej perspektywy, mogę powiedzieć, że zasługi – nieco osamotnionego w swych działaniach i zaangażowaniu Andrzeja Przewoźnika – w zorganizowaniu ekshumacji i przygotowaniach do budowy cmentarzy w Katyniu, Miednoje i Charkowie są ogromne.

Zatrzymujemy się w Kałudze na posiłek. Tu spotykamy naszą przewodniczkę, chyba emerytkę. O godzinie 16 ruszamy do Kozielska. Przewodniczka rozpoczyna swoją opowieść dla turystów. Mowa więc o świetności monasterów kałuskiej oblasti. O zakonach męskich i żeńskich. I o wspaniałych chramach. Dziś w większości z nich są muzea lub sanatoria, informuje przewodniczka w beznamiętny sposób.

Przejeżdżamy przez Juchnowo, gdzie był obóz przejściowy, to niedaleko miejscowości dobrze znanej – Pawliszczew Bor\*. To tam, również w przejściowym obozie, znaleźli się na krótko ci, którzy ocalili z zagłady. Stamtąd wywieziono ich do Gрязовца pod Wołogdą.

Dalej mijamy wielkie kołchozowe pola, stada wymizerowanych krów. W pobliżu biednych domków pasą się kozy.

Kozielsk to małe, ubogie miasteczko. Już z dużej odległości widać zabudowania monasteru ze złotymi kopułami. Skręcamy do lasu, po kilkunastu minutach przed nami jawi się częściowo odnowiony klasztor. Czeka na nas konsul Michał Żórawski. Zanim wysiądziemy z autokaru, pokazuje gestami, że coś jest nie tak. Za chwilę zaś mówi, że przyjechał kilka godzin wcześniej. Wszedł do klasztoru. Zakonnicy już

\* „»Pawliszczew Bor« – tak się nazywał ten obóz położony w głębi pięknych lasów. Zastaliśmy tam 200 kolegów z Kozielska, 120 z Ostaszkowa i 63 ze Starobielska”. Józef Czapski, *Wspomnienia Starobielskie*, Wydawnictwo Recto 1989, s. 29.

wiedzieli, że mają przyjechać Polacy. Nie było namiestnika (przeora) Benedykta ani jego zastępcy. Rozmawiał więc z mnichami, wyjaśniał, że grupa ekspertów chce zobaczyć klasztor – w którym w 1939 i 1940 r. więziono polskich oficerów zamordowanych potem w Katyniu. Rozmowa trwała długo. Zakonnicy przeprosili konsula, udali się na naradę, podobno odbyło się głosowanie, po którym zapadła jednomyślna decyzja o niewpuszczeniu Polaków na teren klasztoru. Dlaczego?

Poprzednio – uzasadniali – jacyś Polacy zachowali się nieobyczajnie. Na czym ta nieobyczajność polegała?

Niebawem się dowiemy, że polegała na modleniu się. Konsul dodaje, że zakonnicy użyli jeszcze dodatkowego argumentu przemawiającego przeciwko wpuszczeniu nas – dewastowanie w Polsce grobów radzieckich żołnierzy. Obok Żórawskiego chodzi zdenerwowany wiceminister kultury Rosji Wiaczesław Briagin. Brama, otwarta dla każdego, jest teraz zamknięta. Przy wąskiej metalowej furtce stoi kilku młodych zakonnych braci z różańcami w ręku. Jeden z nich trzyma oprócz różańca dużą kłódkę z kluczem. Nieco dalej, na terenie klasztoru chodzi młody milicjant, jak się dowiemy, wezwany przed naszym przybyciem. Ma nieco spłoszony wyraz twarzy.

Próbujemy rozmawiać z zakonnikami. Pytać, czy wiedzą, dlaczego przyjechaliśmy tutaj 450 km. O oficerach rozstrzelanych w Katyniu coś tam słyszeli. Chcemy zobaczyć miejsca – tłumaczymy – gdzie nasi rodacy byli więzieni przed zamordowaniem. To jeszcze nie powód – odpowiada jeden z mnichów – by im zakłócać spokój. Zresztą oni wykonują polecenia swoich przełożonych. Dalsze rozmowy, prowadzone z naszej strony w bardzo ugodowej formie, na nic się nie zdają. Zakonnicy już nie odzywają się, ostentacyjnie odwracają się do nas tyłem. Gdy ktoś chce sfotografować klasztor krzyczą, że nie wolno. Pewien krewki zakonnik wyciąga rękę przez furtkę i gwałtownym ruchem usiłuje mi rozbić kamerę.

Stoimy w pobliżu bramy, Briagin wydaje się bezradny, zaczyna nalegać, abyśmy ustąpili. Konsul Żórawski nie ukrywa wzburzenia, nie szczędzi cierpkich słów pod adresem kręcących się zakonników. Miotają złe słowa dwie rosyjskie dziennikarki Swietłana Fiłonowa i Anna Łapikowa. Obie grożą międzynarodowym skandalem. Zakonnicy milczą. Tylko coraz któryś uśmiechnie się ironicznie.

– Tak – komentuje wściekły konsul – tu przetrwał Związek Radziecki.

Tę zaskakującą konstatację potwierdzają dziennikarki.

W końcu Briaginowi udaje się wejść do środka. Czekamy. Po kilkunastu minutach wraca z jakimś starszym, potężnym zakonnikiem:

– Wejdziemy – mówi Briagin – na klasztorny teren. – Pod warunkami: Nie wolno robić zdjęć. Wszystkie aparaty i kamery trzeba zostawić przy wejściu. Nie wolno palić papierosów i śmiecić. Nie wolno się śmiać i hałasować. Nie wolno się modlić. Nie wolno zapalać żadnych świeczek. Kobiety mają mieć okrycia głowy.

Briagin jeszcze tłumaczy, że to, z czym się tutaj spotkaliśmy, jest wynikiem sprofanowania świętego miejsca prawosławnej cerkwi. Profanacja ta miała polegać na odprawieniu mszy katolickiej, czy też modleniu się wraz z Polakami, przez księdza Peszkowskiego. Zapalono też świeczki.

Gdy przekraczamy bramę, zakonnicy pilnują nas i otaczają. Milicjant robi wrażenie zażenowanego, wolno oddala się. Przeszliśmy 100 metrów i zostajemy zatrzymani. Przewodniczka mówi o historii obrazu Matki Boskiej Kozielskiej. O jej znaczeniu dla Rosji. A później o odrestaurowaniu monasteru. Powtarzała to już, widać, setki razy. Stoimy, słuchamy, rozglądamy się. Ale nie możemy ruszyć się ani na krok. O wejściu, do ogólnie przecież dostępnej, cerkwi nie ma mowy.

Przewodniczka kończy po dziesięciu minutach i zakonnicy nakazują nam opuszczenie klasztoru. Ruszają na nas wolno, spychając ku wyjściu. Próbuję rozmawiać z zakonnikiem w średnim wieku o ładnej, myślącej twarzy. Mówię w tonie pojednawczym. On nie odzywa się. Wreszcie stwierdzam, że to przykre spotkać się z takim przyjęciem u tych, którzy wierzą, w tego samego Boga. Dopiero wówczas mnich reaguje.

– To wy tak twierdzicie.

– Jak to – mówię – przecież modlimy się do tej samej Matki Boskiej.

Mnich znów odpowiada.

– To wy tak twierdzicie.

Jesteśmy w coraz ciasniejszym kręgu zakonników. Wychodzimy, kilkunastu zakonników idzie za nami. Chcemy obejść klasztor na około, na zewnątrz murów. I tu zaczyna się następna odstona. Zakonnicy i dwaj młodzi, wyraźnie agresywnie nastawieni mężczyźni, zachodzą nam drogę. Nie wolno nam przejść ani po lesie, ani wioską drogą. Cywilni mężczyźni o twarzach niedogolonych, zaciętych, są gotowi do użycia siły. Nie możemy zatem nawet w odległości kilkudziesięciu czy kilkuset metrów przejść w pobliżu zabudowań monasteru.

Delikatnie mówiąc, rozczarowuje zachowanie bądź co bądź ministra rządu rosyjskiego. Niby nam sprzyja, niby kipi energią. Tu zaś swoją biernością ujawnia, jak niewiele znaczy. Nakłania nas, byśmy już odjeżdżali do Kaługi. To piękne miasto, warte zwiedzenia. Marian Głosek twierdzi, że owszem, przenocujemy zgodnie z planem w tym pięknym mieście. Ale jutro przyjedziemy, poszukamy grobów tych, którzy zmarli w Kozielsku. Briagin prosi:

– Nie zadrażniajcie stosunków (nie bardzo wiadomo między kim, a kim), my postaramy się dotrzeć do informacji, gdzie waszych chowano.

Gdy konsul Żórawski i minister Briagin odjeżdżają, profesor Głosek decyduje, że jeszcze dziś spróbujemy poszukać grobów. Pytamy starszych ludzi. Jeden kieruje nas do lasu, tam są jakieś mogiły. Z niemałym trudem odnajdujemy to miejsce na skraju wsi. To zbiorowa mogiła rosyjskich żołnierzy poległych w 1941 i 1945 r. Jest grób pułkownika rosyjskiego, który zginął w 1942 r. Może i tu chowali wcześniej Polaków. Nasi archeolodzy rozchodzą się po rzadkim lesie na pagórkowatym terenie. To miejsce być może trzeba będzie kiedyś zbadać.

W Starobielsku profesor Głosek wraz z ekipą w 1993 r. ekshumowali z miejscowego cmentarza 48 zwłok polskich oficerów (przypomnijmy, że lista rosyjskiego MSZ zawierała tylko 19 nazwisk). Zostali przeniesieni na nowy cmentarz, gdzie pochowano Ich w odrębnej polskiej kwaterze. To dziś jedyny polski wojskowy cmentarz w Rosji.

W Kałudze spędzamy następne pół dnia. Pomnik Lenina trzyma się dobrze. Piękna XVIII-wieczna ulica – przy której stoi wiele pięknych domów arystokratów i kupców, niektóre przypominają ruiny – również nosi imię wodza rewolucji bolszewickiej. Przewodniczka klepie, bo trudno nazwać inaczej potok jej słów, wyuczone kwestie. Wspomina o Dekabrystach i o Polakach zesłanych tu przez cara. Nie zająknęła się nawet o uwięzionych tutaj żołnierzach AK. Zapytana o to – udaje lub rzeczywiście nie wie, o czym mówimy.

Po raz pierwszy dłużej rozmawiam ze Swietłaną Fiłonową. I natychmiast zrozumiałem powody szczególnego stosunku Polaków do niej. Podczas długiej rozmowy Fiłonowa mówi w pewnej chwili:

*– Tu jest moja ojczyzna. Żyję w niej i tu umrę. Wie pan, budząc się rano wiem, że honor mego narodu jest moim honorem, zaś jego hańba, a Katyń to jedna z największych, jest moją osobistą hańbą.*

Wtedy też zaproponowałem, aby napisała artykuł do „Palestry”. Zawierając w nim to wszystko, o czym mi powiedziała. Godzi się z oporami, niepewna czy podoła temu tematowi pisząc dla polskiego czytelnika\*.

Następnego dnia po pracy, wraz z paniami Bożeną Łojek i Jolantą Adamską odwiedzamy ojca Ptolomeusza. Wie już o incydencie w Kozielsku od wicegubernatora Nowikowa. Wicegubernator mówił, żeby Głosek nie narzekał na niego. Są, jak widać, gorsi. Tacy jak w Kozielsku. Dawał do zrozumienia, że to wszystko, co działo się przed klasztorem, nie wypłynęło wyłącznie z inicjatywy mnichów. Ktoś ich musiał na nas napuścić. Ze Smoleńska? Z Moskwy? Tego się nie dowiemy.

W „Smoleńskich Nowościach” szukamy artykułu Anny Łapikowej. Jakież jest nasze zdumienie, gdy odnajdujemy jej tekst pt.: „W Kałudze są kosze na śmieci i nie ma problemów z ciepłą wodą”. Ale to tylko chwyt, by artykuł mógł zostać opublikowany. Łapikowa w bardzo ostrych słowach opisuje skandaliczne zachowania zakonników. Stawia pytanie, jak to możliwe, że ci, którzy sami tak długo cierpieli od władzy, przejęli jej metody i wprowadzają je w życie. Dziennikarka ustaliła, że tego samego dnia odwiedziła klasztor w Kozielsku grupa Hindusów, którzy bez żadnych przeszkód zwiedzali klasztor i cerkiew. I nie bez złośliwości komentuje, iż ich wiara wydała się zakonnym braciom bliższa od wiary katolickiej. Anna Łapikowa podkreślała, że jest ochrzczona w wierze prawosławnej. Ale nie kryła swego krytycznego stosunku do niektórych posunięć hierarchów. Opowiada między innymi, że podczas chrztu w niektórych cerkwiach nakazuje się rodzicom dziecka pluć na zachodnią stronę świata. Nawet po incydencie w Kozielsku trudno mi w to uwierzyć.

Dziś profesor Głosek odbierając listy do członków ekip w hotelu kolejny już raz stwierdził, że są ordynarnie rozrywane i otwierane. Istnieje przypuszczenie, że robią to ludzie z administracji hotelu. Czego szukają? Pieniądzy? Ktoś czyta te listy? Trudno się dziwić, że przebywających tu od trzech miesięcy członków ekipy naruszenie ich korespondencji irytuje.

---

\* Artykuł Swietłany Fiłonowej pt. „Po pięćdziesięciu latach” ukazał się w numerze 3-4/96 „Palestry”.

29 sierpnia. Przygotowanie do pogrzebania wyekshumowanych szczątków. Są wkładane do czarnych foliowych worków co, nie tylko u mnie, budzi wewnętrzny sprzeciw. Ale jest to zgodne z normami Czerwonego Krzyża. Każde szczątki zostają oznaczone numerem pecekowskim wybitym na miedzianym znaczkach. Później, wyłącznie polskimi rękami, przenosimy Ich zwłoki do mogił nr 1 i nr 6.

Do Katynia przyjeżdża płk Marek Tarczyński z Wojskowego Przeglądu Historycznego, badacz i znawca tematyki katyńskiej. Wspólnie z nim i profesorem Głoskiem rozmawiamy o nie rozstrzygniętej do tej pory kwestii. Przyjęło się bowiem twierdzić, że polscy oficerowie byli mordowani nad dołami nazwanymi potem „dołami śmierci”. Czy jednak na pewno?

Poza sporem pozostaje fakt, wynika to z fotografii wykonanych w 1943 r., że na terenie NKWD nad brzegiem Dniepru znajdowała się okazała willa. Stacjonowali w niej Niemcy. Nie może być wątpliwości, że została rozebrana. Najprawdopodobniej wkrótce po wojnie, by zatrzeć wszelkie ślady. Czy zatem mordowano w tym budynku, w piwnicach? Tak postąpiono na pewno w Twerze (strzelano w siedzibie NKWD) z jeńcami z Ostaszkowa. Tak też zabijano w Charkowie, w tamtejszym wielkim gmachu NKWD.

Za wersją zabijania w pomieszczeniu przemawiają znajdowane w odkrytych przez ekipę „dołach śmierci” skupiska pocisków i łusek. Być może zgarniętych po kolejnym etapie zbrodni i wrzuconych potem do ziemi razem ze zwłokami.

Nad brzegiem Dniepru, dobre kilkaset metrów od polskich mogił, stoją dziś dwa budynki wzniesione po wojnie dla NKWD, a przekształcone przed kilku laty na dziecięce sanatorium przeciwgruźlicze. Administratorem tego terenu był, można się domyślać jak bardzo zaufany, funkcjonariusz tej służby Stefan Wasilijewicz Tatarinow zamieszkały w Smoleńsku. Ma 90 lat. Odwiedzamy go wraz z Marianem Głoskiem i Magdaleną Blomberg w jego mieszkaniu przy ul. Worowskiego 23. Blok porządny, z jasnej cegły, podwórko zadbane w przeciwieństwie do otoczenia innych tutaj domów. Otwiera nam drzwi dobrze zbudowany mężczyzna. Nie wygląda na swój wiek. Ma lekko przytępiony słuch. Porusza się ostrożnie, ale sprawnie. Widać, że kiedyś był bardzo silnym człowiekiem. Mieszkanie jest dość przyzwoite. Początkowo starzec jest trochę nieufny, ale gdy rozmowa toczy się na temat spraw budowlanych, odpowiada chętnie. Mówi, że był administratorem obu budynków w latach 1960 do... zastanawia się, chyba do 1984, kiedy poszedł w „odstawkę”. Tak określa emeryturę. Twierdzi, że nie wie i nigdy nie słyszał, aby wcześniej była jakaś willa NKWD, później rozebrana. Co prawda najpierw powiedział, że małą willę postawiono na miejscu starej „rozruszonej”. Ale trudno zorientować się, czy początkowo nie zrozumiał pytania, czy też z innego powodu przekonuje nas uparcie, że zarówno mniejszy jak i większy budynek obecnego sanatorium postawiono, bo to sam obserwował, od fundamentów na niezbudowanych wcześniej miejscach. Wyraża zgodę, by pojechać do Katynia. Następnego dnia Marian Głosek przywozi samochodem starego enkawudzystę. Pokazuje mu przy murze mniejszej willi trzy schody prowadzące donikąd, jakby pochodziły z nie do końca rozebranego budynku. Tatarinow nie potrafi wytłumaczyć ich pochodzenia lub przeznaczenia.

– Tu – powtarza – był czysty teren. – A patrząc na fotografie z 1943 r. wzrusza ramionami. – Może to zdjęcie Niemcy zrobili gdzie indziej? – zastanawia się.



Głosek tłumaczy, że willę, w której stacjonowali Niemcy widziało wtedy kilkunastu Polaków z PCK. Dalsza rozmowa, którą rejestruje kamera wideo, do niczego nie prowadzi.

Chodzimy patrząc na fotografie ukazujące dom wypoczynkowy, analizujemy teren nad ostrym zakolem Dniepru. Czyżby tamta willa, w której odpoczywali enkawudziści po trudach służby, stała na miejscu wznoszonego od kilku lat eklektycznego pałacu wicedyrektora smoleńskich zakładów materiałów budowlanych? Magdalena Blomberg przypuszcza, że willa NKWD jednak musiała stać nieco wyżej, na miejscu porośłym dziś chaszczami i drzewami.

Znów powracamy do dyskusji. Gdzie zabijano? Odpowiedź na to pytanie ma swoją wagę. Nie tylko historyczną.

Czy zatem Niemcy, którym nie obce było mordowanie nad dołami, nie sprawdzając wszystkich śladów, zasugerowali taką właśnie metodę zabijania przez Rosjan? Czy może dziś należy zweryfikować tę wersję?

Są łuski, które jednak mogą świadczyć tak za jedną jak i za drugą wersją. Archeolog Justyn Skowron, który pracował w Miednoje, mówi, że tam przy zwłokach także znajdowano łuski, choć wiadomo, że strzelano w budynku NKWD w Twerze. Profesor Blomberg przypomina, że w jamach ustnych ofiar jeszcze w 1943 r. znajdowały się wióry. Czyżby właśnie wióry wysypywano na podłogę pomieszczenia, by łatwiej usuwać krew?

Im więcej dowodów, tym częściej pojawiają się nowe, ważne pytania. Na które coraz trudniej udzielić odpowiedzi. Dotychczas nie wiadomo, co stało się ze szczątkami około dwustu polskich oficerów, które nie zostały ekshumowane w 1943 r. z „dołu śmierci” nr 8. Już w roku 1994 nasze prace pozwoliły ustalić, że nie ma tam zwłok. Kiedy i gdzie Rosjanie je przenieśli, co z nimi uczynili? Najprawdopodobniej nie będzie wyjaśnienia tych wszystkich kwestii bez ujawnienia dokumentów, które gdzieś tam, w tajnych rosyjskich archiwach bez wątpienia spoczywają. To, że jeszcze nie nadszedł czas na powiedzenie całej prawdy, jest czymś w najwyższym stopniu zasmucającym. A, być może, dla niejednego Polaka, rzeczą zatrwającą.

Dowiadujemy się natomiast, że ubiegłoroczną manifestację przed siedzibą smoleńskiej Dumy organizowała ... żona wicegubernatora Anatolija Nowikowa, który ma koordynować współpracę strony rosyjskiej. W bezpośrednich rozmowach usiłuje nas przekonywać (tak było i w 1994 r.) o swoich dobrych intencjach. Tymczasem to jego żona nakłaniała, również pracowników sanatorium, do demonstracji przeciwko nam.

Dociera do nas – trzeba mimo wszystko pamiętać, że dzięki Rosjanom – także i inna, nie mniej zaskakująca wiadomość. Otóż wydawało się nam, że dyrektorka sanatorium dla dzieci, pomimo okazanej nam w 1994 r. wrogości, wraz z personelem „przesłała na naszą stronę” po wyjaśnieniu polskich zamiarów. Pisałem o tym w poprzedniej relacji\*. Jednak podczas wizyty w Katyniu w tamtym roku premiera Czernomyrdina, gdy po zapoznaniu się z naszymi pracami, udał się do sanatorium,

---

\* W Katyniu i Miednoje „Palestra” 3–4/95

właśnie ona zaczęła protestować przeciwko pracom ekshumacyjnym. „Po co nam ten cmentarz?” – mówiła. Premier Rosji przerwał jej ostro, poprosił, by lepiej powiedziała o chorych dzieciach. W tym roku pani dyrektor uśmiecha się do nas, jak gdyby nigdy nic. Rozmawia serdecznie.

30 sierpnia. Rano o godzinie 9 pogrzeb tych, których szczątki zostały ekshumowane. Zwłoki czterech polskich oficerów, których nie podniesiono w 1943 r. wczoraj złożyliśmy do mogiły nr 1. Magdalena Blomberg jest przeciwna pogrzebaniu, zwłaszcza tych czterech żołnierzy, w czarnych plastikowych workach zamiast trumien. Mówi, że te czarne worki śnią się jej po nocach. Nie tylko ja dobrze ją rozumiem. Przeważa jednak argument przedstawiciela PCK, by do wszystkich ekshumowanych zwłok stosować te same zasady.

Ojciec Ptolomeusz – Jacek Kucznik mówi, że w liturgii jest powiedziane, by mszę odprawić na doczesnych szczątkach świętych męczenników.

– Dziś – kontynuuje homilię kapłan – stoimy na szczególnym ołtarzu – pod nim szczątki męczenników narodowej sprawy.

Podczas nabożeństwa, na pniu drzewa, pali się świeczka znaleziona przy zwłokach. Gdy się wypala, zaczyna, jak znicz wiecznej pamięci, płonąć pień.

Archeolog Justyn Skowron i Piotr Świątkiewicz wykonują kilkumetrowej wysokości brzożowy krzyż. Dół pod niego kopie również kierownik naszej ekipy. Krzyż pozostanie w miejscu „dołu śmierci” nr 8, które nie znajdzie się w granicach polskiego cmentarza. Kolejny już raz uczestniczę przy takiej pracy. I za każdym razem widzę, jak postawienie krzyża na ziemi, w którą „krwi naszej poszły zdroje”, jest dla wszystkich, również dla osób, które nie ukrywają pewnej obojętności wobec religii, chwilą przejmującą.

Od kilkunastu dni trwa systematyczne zasypywanie wykopów w miejscach „dołów śmierci”. 31 sierpnia przystępujemy do zakopywania mogił. Jesteśmy punktualnie o godzinie 8. Nie ma żołnierzy, nie ma koparki. Pracujemy sami. Przywykliśmy już do łopat. Profesor Głosek dzwoni do Nowikowa. O dziesiątej przyjeżdża dwudziestu żołdatów. Krzykiem, do którego chcąc nie chcąc musiałem nawyknąć, trzeba wymuszać na nich pracę.

Wiktor Nikołajewicz Timoszenkow, ten niby tylko wysoki urzędnik, który często nas tu nawiedza – i trzeba to oddać – rzeczywiście spełnia wiele z naszych postulatów, przyjechał przed południem. Chodzi, rozgląda się i w pewnej chwili mówi do kierownika ekipy:

– To co? Zakopujecie, kończycie. I co, wyjeżdżacie?

– Tak – odpowiada profesor Głosek. – Trochę prac wykończeniowych, pogrzeb i wyjeżdżamy.

Timoszenkow, nazywany tu z powodu nieodmiennie czerwonej twarzy – Rumiancem – mówi na to:

– To się jeszcze okaże, czy wyjeżdżacie – i wybucha głośnym śmiechem.

Ten – bądźmy sprawiedliwi – dość sympatyczny kagiebowiec, ma, jak się okazało, osobliwe poczucie humoru. Nie czuje, jak mało stosowne. Oni zresztą, niektórzy z nich, lubią sobie żartować. Pamiętam jak w dziewięćdziesiątym pierwszym roku

wracaliśmy w niesamowitym skwarze ze Starobielska do Charkowa. Towarzyszący nam wtedy kapitan KGB, nomem omen – Kałasznikow, polecił zatrzymać autokar przy jakiejś studni niedaleko drogi. Powiedział, że woda w niej wyśmienita. Większość członków ówczesnej ekipy – nie zważając na wcześniejsze ostrzeżenia – zaspokoiła pragnienie.

– Dobra woda? – spytał Kałasznikow, a gdy nasi potwierdzili, zawołał: – Już po was! O wy, naiwni! Niczego, jak widać, historia was nie nauczyła. Przecież specjalnie tu wszystkich zaciągnąłem. Nie zwróciliście uwagi, że ja nie piłem. Dlaczego? Bo wcześniej moi ludzie zatruli studnię. – I kapitan ryknął śmiechem. A po chwili chwycił wiadro i prosto z niego pił zachłannie. Gdy już miał dość, odstawił wiadro i głośno śmiał się nadal.

Po obiedzie, ni stąd ni zowąd przyjechało jeszcze dodatkowo czterdziestu żołnierzy. Dowodzi nimi młody, wysoki, czarnowłosy oficer. Gruzin? Ormianin? Jest dobrze zbudowany, ma donośny „wojskowy” głos, wzbudza respekt podwładnych. Ale widać, że jednych nie oszczędza rozkazując pracować im bez przerwy, innych jawnie faworyzuje, tolerując obijanie się. Praca jednak szybko posunęła się naprzód.

Nagle, bez jakichkolwiek wcześniejszych zwiastunów, lunął gwałtowny, jakby tropikalny deszcz. Ku memu zdumieniu oficer, wielkie chłopisko o twarzy ogorzałej, wydawałoby się, że to człowiek zahartowany nie wiadomo w jakich warunkach, pozostawiając żołnierzy w lesie, rzucił się w popłochu w kierunku samochodu i tam się skrył. Dopiero profesor Głosek krzyknął, żeby wojsko też schroniło się do samochodów.

Gromadzimy się w „wagończyku” – magazynowym baraku i na siedząco, w jednej chwili, usypiamy. Dwa „wagończyki” wskutek interwencji profesora Głoska zostały postawione bliżej mogił. Z jednego z nich, przeznaczonego dla rosyjskich milicjantów, zabrano łóżka. Od tamtego czasu wraz z psem koczowali przy ognisku. Było to posunięcie konieczne, albowiem członkowie ekipy stwierdzili próby okradania w nocy odkrytych zwłok.

Ulewa, jak niespodziewanie przyszła, tak po pół godzinie ustała. Pracujemy do kolacji.

W drodze z Katynia do Smoleńska zatrzymujemy się w małej miejscowości, w Krasnym Borze. Wiele tu daczy. W pobliżu wznoszonej właśnie willi dziesiątki małych, widać, że ostatnio wykopanych dołów. To wykopy rabunkowe. Wokół rozwleczone przez psy ludzkie kości. Najprawdopodobniej to szczątki Niemców zmarłych w szpitalu wojskowym podczas wojny. Nikomu tutaj te ludzkie kości nie przeszkadzają. Nie zakłócają odpoczynku.

Późnym wieczorem dzwoni z Moskwy Swietłana Fiłonowa. Mówi, że artykuł o Katyniu zdjęto w jej macierzystym piśmie „Rossija”. Nie przyjedzie też następnego dnia do Katynia na ekumeniczną mszę, bo w samochodzie ambasady polskiej zabrakło dla niej, obiecanego wcześniej, miejsca.

1 września. Żołnierzy nie ma znów do godziny dziesiątej. Pracujemy sami zasypując mogiłę nr 1.

Nieco wcześniej jedziemy na obiad. Jak co dzień „podzarka”, coś jakby gulasz. Ale nikt nie narzeka na tę monotonię. Są różne sałatki, dość dobrze przyprawione, a choć mięsa niezbyt dużo, zawsze jest świeże. Mimo to trudno byłoby wyżyć bez zapasów prowiantu, o których zgromadzenie zadbał sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa Andrzej Przewoźnik i Federacja Rodzin Katyńskich.

O godzinie 13 rozpoczyna się msza ekumeniczna odprawiana przez ojca Ptolomeusza. Przy prowizorycznym ołtarzu stanął też pastor Kościoła luterańskiego. Jest młody, ma pogodną, myślącą twarz o wyraźnych nordyckich cechach. Dowiaduję się później, że pochodzi z Niemców nadwołżańskich. Ojciec Ptolomeusz mówi, że można z nim rozmawiać. W tych słowach zawiera wszystko.

Spóźnia się nieco duchowny prawosławny. (Nie wszyscy zapewne wiedzą, że pop jest określeniem obraźliwym). Jako jedyny nie klęka, nie pochyla głowy podczas Podniesienia. Przyszedł po raz pierwszy, pomimo zapraszania przedstawiciela Cerkwi prawosławnej od 3 lat, kiedy to ojciec Ptolomeusz zainicjował nabożeństwa ekumeniczne w rocznicę wybuchu II wojny światowej. Po odprawionej liturgii zostaje poproszony do ołtarza. Jest to bardzo wysoki, szczupły mężczyzna w okularach, o ostrych, regularnych rysach twarzy. Ma krótką, rudą brodę. Mówi o potrzebie pamięci. Bardzo ogólnikowo. Wspomina coś o smutnej pomyłce. Później, gdy w całkowicie odmiennych, pełnych pokory słowach zwraca się do zgromadzonych pastor, prawosławny duchowny wyjmuje grzebień i stojąc przy ołtarzu długo i starannie czesze swoje długie, falujące włosy.

Bądźmy przez chwilę tacy, jak polski franciszkanin w Smoleńsku, który tłumaczy różne postępowania Rosjan brakiem wyczucia.

Ale na podobny stosunek naprawdę nie zasługują, a piszę te słowa z najwyższą goryczą, zastępca attaché wojskowego pułkownik Piotr Kośła i jeden z sekretarzy polskiej ambasady w Moskwie, pan Gregorowicz. Przyjechali na chwilę przed mszą. Córka pułkownika dokumentowała ich statystujący udział za pomocą kamery video. Obaj panowie ani przed, ani po nabożeństwie nie zamienili jednego słowa z żadnym z członków polskiej ekipy. Gdybym tam nie był, to chyba bym nie uwierzył, że tak mogą się zachować polscy dyplomaci. Niemal ostentacyjnie ignorowali rodaków. Nosiliśmy plakietki z orłem, z polskimi napisami, i łatwo nas było zauważyć wśród nielicznie zgromadzonych. Jest czymś wręcz niepojętym i – nie waham się powiedzieć – dyskredytującym te oficjalne osobistości, że nie wykazały jakiegokolwiek zainteresowania pracami ekshumacyjnymi w Katyniu. Zaraz po zakończeniu uroczystości wszyscy przeszli pod prawosławny krzyż, ustawiony kilkadziesiąt metrów od polskich mogił. „Nasi” dyplomaci po rozmowie z Nowikowem oraz z Timoszenkowem w niezwykajnym jakimś pośpiechu odjechali. W samochodzie było wolne miejsce.

Na szczęście zetknęliśmy się w Rosji, a wcześniej na Ukrainie, z innymi przedstawicielami dyplomatycznymi Polski. Michałem Żórawskim, Mieczysławem Czudcem, Arturem Michalskim, Stanisławem Łukasikiem. To ci, których zaangażowanie i patriotyzm mogłem osobiście zaobserwować. Także ambasador Stanisław Ciosek dobrze rozumiał sytuację kolejnych ekip ekshumacyjnych i, z mojej perspektywy widziany, zasłużył sobie na słowa uznania.

Kolejny dzień utrwała mi się w pamięci długą, trwającą do późnej nocy, rozmową z profesorem Marianem Głoskiem. Jego ojciec walczył z bolszewikami w 1920 roku. A podczas II wojny światowej, ratując od niechybnej śmierci dwóch żołnierzy rosyjskich, zaraził się tyfusem i zmarł zostawiając kilkoro dzieci. Przyszły profesor miał wówczas 6 miesięcy.

Te wszystkie koleje tragicznie historią powiązanych losów, wplatające się w wątki katyńskiego dramatu, a w którego odczytywaniu wraz z innymi wspaniałymi ludźmi uczestniczę, również zasługują na spisanie. Ale jak dotychczas niewielu zainteresowanych nawet głównym tematem.

Nie tylko warto, ale i trzeba pytać, dlaczego?

Co się z nami stało, kim dziś jesteśmy, że jedna z największych narodowych tragedii po pięćdziesięciu latach jest noszona głównie w sercach katyńskich rodzin?

Od tych pytań nie wolno uciekać. W przeciwnym wypadku – przeprosić wypada za wkradający się tu patos – zmylimy krok w biegu historii, w tej nieustannie trwającej sztafecie pokoleń.

3 września w niedzielę udajemy się do kościoła. Podczas homilii ksiądz Ptolemeusz nawiązuje do znanych słów Ewangelii: „Kto się będzie wywyższał, będzie poniżony, kto się poniża, będzie wywyższony”.

– A jak jest z nami? – pyta kapłan. – Czy nie staramy się pokazać w codziennym życiu, w pracy, kim jesteśmy? Jaką władzę posiadamy?

Pod koniec nabożeństwa mówi, że po raz ostatni w nim uczestniczą członkowie ekipy ekshumacyjnej. I dodaje, że świadectwo wiary, które oni dali, przyniosło więcej niż jego czteroletnia misyjna praca.

Słuchając ojca Kuczmika, obserwując jego działalność, trudno oprzeć się smutnej refleksji, że takich duchownych brakuje nam w kraju.

Rozmawiamy później z parafianami. Nie wszyscy mówią po polsku, a ci którzy władają naszym językiem, mają z tym niejakie trudności. Stary mężczyzna, który z wielkim przejęciem czytał po polsku, z charakterystycznym kresowym akcentem, ustępy Ewangelii mówi, że jego pradziadek wraz z bratem byli zesłańcami Powstania Styczniowego. A więc jest Polakiem? – ktoś pyta. „W moich żyłach płynie polska krew” – tak określa swój związek z ojczyzną przodków.

Kolejne dni trwa praca przy zasypywaniu wykopów i równaniu terenu. Codzienne żądania, by przyjeżdżali żołnierze, których nagminnie rano nie ma, ciągle telefony i domagania się, by przyjechał spychacz i wywrotka z piaskiem. Wszystko to jest wywalczane przez kierownika ekipy dziesiątkami, jeśli nie setkami interwencji. Nie ulega wątpliwości, że nasze trudności wynikały z biurokratyzmu i potwornego, wręcz wszechogarniającego Rosję, chaosu. Ale nie wszystko należy tłumaczyć bałaganem. Coraz mieliśmy dowody na świadome, a i nierzadko złośliwe utrudnienia.

5 września, gdy członkowie ekipy idą do sanatorium na pożegnalną herbatę, pozostają wraz z 55 żołnierzami. Podoficer, trzydziestokilkuletni szczupły, bladej skóry, robi wrażenie zalęknionego. Nie wykazuje żadnej inicjatywy, by przynaglać wojsko do pracy. Ale z tymi żołnierzami znajduję porozumienie. Nie muszę krzyczeć. Rozdzielam zadania. To jakaś wyjątkowa grupa. W ciągu trzech godzin wykonują

bardzo wiele. Gdy ekipa wraca z sanatorium, niemal cały teren, na którym trwały prace, jest wyrównany i uporządkowany.

Podoficer mówi do mnie, że do prac ekshumacyjnych w Katyniu dowództwo jednostki przydzielało tych, których zamierza wysłać do Czechenii. By oswoili się z widokiem zwłok. Z tym, co niesie śmierć. Dlatego przyjeżdżali wciąż nowi. To 18-19-letni chłopcy. Dzieci niemalże. Najczęściej słabo rozwinięci fizycznie. Niedożywieni. Żołdu, jak mówili, nie wypłacają im od 6 miesięcy. Proszą o papierosy. Rozmawiający ze mną podoficer skarży się, że on nie otrzymuje pensji od czterech miesięcy. Oficerowie, nawet majorzy, ostatnio nie dostają wynagrodzenia już cały kwartał. Milicjanci mają ponoć niepłacone od pół roku.

Dużo żołnierzy ginie w Czechenii – mówi do mnie. Do Smoleńska wciąż przywożą trumny z poległymi z tutejszej jednostki wojskowej. „I wiecie – kontynuuje mój rozmówca – jak to u nas teraz jest? Z Czechenii trumny jadą do Smoleńska, bywa że i miesiąc. Wczoraj powiadomiono, że jest do odebrania na lotnisku jedna trumna ze zwłokami naszego żołnierza. Ale nie miał kto po nią pojechać. Nieraz trumna czeka na smoleńskim lotnisku tydzień. A zanim później dotrze do rodziny, mija cały miesiąc”.

Podoficer mówi to wszystko ściszym głosem. A na końcu dodaje: „Mój dziadek był Polakiem”. I uśmiecha się. Widać, że tak jak i inni, z którymi tu rozmawiałem, jest dumny ze swego dalekiego, polskiego pochodzenia.

6 września jedziemy do Katynia tylko w kilku. Pakujemy do skrzyń przedmioty znalezione przy szczątkach 369 ekshumowanych oficerów. Z Polski przywieziono drewniane krzyże, które staną na grobach obu Generałów. Zabezpieczamy je poprzeczkami, by uniemożliwić wyrwanie. Jutro uroczysty pogrzeb.

Mogiły nr 1 i 6 są już ukształtowane, a ich brzegi obłożone darnią. „Doły śmierci” zaś zaznaczono metalowymi, głęboko wkopanymi prętami.

Wieczorem przyjeżdża Andrzej Przewoźnik. Przybywa też ksiądz prałat Zdzisław Peszkowski.

Rano 7 września oczekujemy na przybycie rządowej delegacji i rodziny generała Mieczysława Smorawińskiego. Dochodzą sprzeczne informacje. Że strona rosyjska odmawia zgody na lądowanie, że samolot jeszcze nie wystartował, choć zbliża się wyznaczona godzina pogrzebu. Czekamy wraz z przybyłymi pociągami nielicznymi przedstawicielami Rodzin Katyńskich i dalszą rodziną Mieczysława Smorawińskiego oraz uczniami szkoły podstawowej jego imienia w Turku. Po półtorzej godzinie wszystko już wiadomo. Delegacja, w skład której wchodziło też kilku generałów, wśród nich biskup połowy Sławoj Leszek Głódź, nie przybędzie. Powodem jest niewystąpienie, ponoć jest to zgodne z obowiązującymi i znanymi powszechnie zasadami, o zgodę na lądowanie samolotu wojskowego na dziesięć dni wcześniej. Zaniedbali to odpowiedzialni wysocy oficerowie Wojska Polskiego, chociaż termin pogrzebu Generałów był ustalony od wielu tygodni. Niebawem dowiemy się jeszcze więcej szczegółów. O braku zgody na lądowanie w Sztapie Generalnym wiedziano już poprzedniego dnia. Urządzono jednak mistyfikację z oczekiwaniem na lotnisku wojskowym w Warszawie na zgodę władz rosyjskich.

Brak dobrej woli strony rosyjskiej jest tu oczywisty, nie zmienia to jednak faktu skandalicznego stosunku do sprawy katyńskiej niektórych wysokich polskich wojskowych. Takich faktów jest, niestety, więcej. I mam nadzieję, że przy innej okazji prawda o nich zostanie ujawniona, bo, jak przestrzega Czesław Miłosz – „spisane będą czyny i rozmowy”.

Z Moskwy przyjeżdża tylko jeden dyplomata, konsul Stanisław Łukasik (inni są ponoć na urloпах) oraz wiceminister kultury Rosji Wiaczesław Briagin. Przybyła też nocnym pociągiem niezawodnie wierna Swietłana Filonowa. Nie ma przedstawicieli polskiej prasy ani telewizji.



Uroczystość odbywa się bez wojskowego ceremoniału, nawet bez żołnierskiej pożegnalnej trąbki. Trumny Generałów są spowite biało-czerwoną flagą z orłem. To, co polska, cywilna ekipa mogła uczynić, by oddać Im hołd i godnie pochować, zostało spełnione. Cichy, przypominający swym charakterem wiejski pochówek, pogrzeb najlepszych polskich żołnierzy. I tym bardziej jeszcze wstrząsający. Daleko od wolnej przecież, ale jakby obojętnie milczącej Ojczyzny. Czyżby zapomniała o swoich bohaterach?

Uczestnicząc w tej uroczystości z garstką rodaków trudno odsunąć od siebie myśl, że oto znoszeni jesteśmy przez prąd historii. Tej, z którą trudno się pogodzić.

*Ta dzisiejsza, bardzo skromna uroczystość ma wymiar szczególny* – powiedział Andrzej Przewoźnik w wystąpieniu, które tej chwili nadało podniosły charakter. – *Szczególny dla tysięcy rodzin pomordowanych tu oficerów Wojska Polskiego. Szczególny też dla całej Polski. Po pięćdziesięciu pięciu latach dochodzenia do*

prawdy, poszukiwania tej prawdy, możemy zakończyć to, na co wszyscy długo oczekiwali. Prace sondażowo-ekshumacyjne. Prace, które w sposób szczególnie przybliżają nas do prawdy o Zbrodni Katyńskiej. Prace, które pozwoliły dotknąć szczątków tutaj leżących, ale pozwoliły też dowiedzieć się tego, o czym jeszcze nie wiedzieliśmy. Wreszcie te prace doprowadziły do tego, na co również wszyscy długo oczekiwali i wciąż czekają. Zakończyły trudny proces przygotowania budowy w tym miejscu, a także w Miednoje i w Charkowie na Ukrainie polskich cmentarzy wojennych. Cmentarzy, na których w spokoju, w sposób godny, spoczną szczątki wszystkich tych, którzy w tak dramatycznych okolicznościach zostali pozbawieni życia. Już wkrótce w tym miejscu stanie cmentarz. Będziecie mogli Państwo – Andrzej Przewoźnik zwrócił się do rodzin pomordowanych – przyjechać, zadumać się nad losami swoich bliskich, nad losami tych najlepszych synów Narodu Polskiego, którzy na ołtarzu Ojczyzny oddali to co najdroższe – własne życie.

Jakże trudno – kontynuował – w ciszy Lasu Katyńskiego wypowiadać słowa. Nawet te wielkie słowa. Ale trudno nie przywołać na pamięć wydarzenia z tegorocznych prac w Miednoje. Z jednej z mogił wydobyto szczątki polskiego policjanta, przy których znaleziono gazetę. Polską gazetę, która mimo tylu lat i złych warunków zachowała się w bardzo dobrym stanie. Cóż było w tej gazecie? Otóż była w niej fotografia, a na niej ułan z koniem nad mogiłą swojego towarzysza broni. Pod zdjęciem podpis: „Śpij Kolego w ciemnym grobie, niech się Polska przysni Tobie”.

Jako przedstawiciel władz Rzeczypospolitej, rządu polskiego – mówił dalej Andrzej Przewoźnik – chciałem w tym miejscu powiedzieć dwóm Generałom, których szczątki zostały ponownie odnalezione w czasie tegorocznych prac, wszystkim Pułkownikom, Podpułkownikom, Majorom, Kapitanom, Porucznikom i Podporucznikom, Komandorom – wszystkim Oficerom różnych rodzajów służb sił zbrojnych Drugiej Rzeczypospolitej Polskiej: „Śpijcie w spokoju, Polska o Was pamięta”.

Zabrał też głos Wiaczesław Briagin.

Katyń – mówił – po wsze czasy będzie odbierany jako miejsce tragedii, miejsce okrutnego zabójstwa niewinnych ludzi. Z wielką goryczą uświadamiamy sobie, że Katyń kojarzy się nam z kainowym grzechem, gdy brat zabijał brata, Słowianin Słowianina. Ale też staje się teraz miejscem o innym wymiarze, przekształca się w miejsce modlitwy i hołdu dla pomordowanych. Katyń dzisiaj rzuca również wyzwanie, jest sprawdzianem ludzkich charakterów i wartości człowieka.

Dziś można po ludzku wyrazić tylko ubolewanie, że są tacy – stwierdził W. Briagin – którzy wykorzystują Katyń dla siania niezgody między ludźmi, można patrzeć z politowaniem na tych, którzy przeszkadzają w ujawnieniu prawdy o Zbrodni Katyńskiej i uwiecznieniu pamięci poległych. (...)

Od prawdy nigdy nie da się uciec. Katyń mówi o tym bardzo mocno. Katyń jest hańbą dla katów, którzy popełnili zło, którzy chcieli ukryć to miejsce za płotami, psami, kłamstwem i milczeniem. Ale nikomu nie uda się nie dopuścić do wyjścia z tego lasu tajemnicy i prawdy. Można na pewien czas zahamować ten proces, można mu przeszkodzić, ale przejdą lata, dziesięciolecia, przejdą w końcu stulecia i wszyst-



*ko będzie ujawnione do ostatniego grama prawdy. O tym każdy z nas – powiedział wiceminister kultury Rosji – powinien pamiętać i tym się kierować.*

*Z lasu tego stopniowo uchodzi nagromadzone przez lata zło. Zanika sam odór katów. Przychodzi naturalna gorycz. I chciałbym mieć nadzieję, że do tego lasu przychodzi też, w swoim ludzkim wymiarze, świadomość pojednania między narodem polskim i rosyjskim.*

*Bóg istnieje. On nas wszystkich przywiódł na to miejsce. Polscy Oficerowie, polscy Obywatele zostali ponownie pogrzebani z należnymi honorami. Stoimy na miejscu, w którym ukształtowany został polski cmentarz wojskowy. Zapewniono spokój dusz tych, którzy polegli. Przywracamy Ich naszej pamięci. Nisko się kłaniamy wszystkim tym, którzy się do tego przyczynili. W wielkiej służbie ideałom, najwyższym ideałom naszych bratnich narodów – zakończył wystąpienie W. Briagin. Chciałoby się wierzyć, że oddawało powszechne odczucia i myśli jego rodaków.*

*A później, po żałobnej mszy i usypaniu przez nas generalskich grobów, Katyński Las usłyszał słowa hymnu. Śpiewanego tu ze szczególnym wzruszeniem. Z tą nieopuszczającą nas przecież, jak wiele poprzednich pokoleń, nadzieją – „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy...”*

*Przed wyjazdem, żegnam się z tym miejscem, jakbym nie miał tu już powrócić. Tak było poprzednio, tak było w Charkowie i w Miednoje. I wówczas zawsze pojawiają się w pamięci słowa, które powinny być wykute na tych cmentarzach: BRUKOWAŁY WASZE KOŚCI ŻŁOTĄ DROGĘ KU WOLNOŚCI. Niespodziewanie trudnej, dziś jeszcze tak kruchej i niedocenianej wolności.*

